Numer 31. Rok XI. Kraków, dnia 29 Lipca 1928.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Ważne rozporządzenie ministerstwa oświaty

Nadzwyczajnej doniosłości rozporządzenie szczególniej dla mieszkańców miasteczek i wsi wydało ministerstwo oświaty. Dotychczas, jak wiadomo, jeżeli chciał ktoś posłać chłopca do gimnazjum, musiał to czynić, gdy ten chłopiec ukończył czwartą klasę szkoły powszechnej i przez ośm lat, jeżeli się chłopiec dobrze uczył, utrzymywać go w większym mieście. Biedniejszych na tak długi okres czasu nie stać było. Posyłali więc dalej syna do szkoły powszechnej, a gdy ten skończył klasę siódmą, próbowali posłać go do gimnazjum. Mógł on zdawać w zasadzie do czwartej gimnazjalnej, ale tylko mógł gdyż prawie nigdy nie zdał, albowiem panowie profesorowie gimnazjalni nawet bardzo inteligentnych chłopców i dobrze przygotowanych „palili“ przy egzaminie, aby wykazać światu, o ile to wyżej stoi gimnazjum od szkoły powszechnej. I właśnie wskutek takiego uporu, rzadziej nieuzasadnionego uprzedzenia, nawet najzdolniejsi chłopcy rodziców biednych nie mogli po skończeniu szkoły powszechnej przejść do czwartej klasy gimnazjalnej.

Ministerstwo oświaty spostrzegło obecnie, że chłopcom tym dzieje się krzywda, dlatego też wydało rozporządzenie, w myśl którego przy gimnazjach będą mogły być od czwartej klasy wzwyż klasy równorzędne dla tych, którzy ukończyli szkołę powszechną. Tak tedy, jeżeli uczeń ukończy na wsi lub w małem miasteczku, klasę siódmą, będzie mógł zdawać egzamin wstępny odrazu do klasy czwartej i tym sposobem za lat pięć ukończy całe gimnazjum.

Ministerstwo, znając upór nauczycieli gimnazjalnych pod tym względem, w rozporządzeniu powyższem nakazało, aby przy takich egzaminach wstępnych, jak najsumienniej badano inteligencję i zdolności zdających, aby ułatwić kształcenie się dalsze tym, którzy naprawdę na to zasługują.

Ministerstwo przypuszczało prawdopodobnie jeszcze jedną możliwość, a mianowicie to, że nauczyciele gimnazjalni do rozporządzenia się zastosują, ale przy egzaminach będą tak pytać, że mało który chłopiec egzamin zda. Bo i to możliwe. Przecież nic trudnego przy takim egzaminie nawet profesora uniwersytetu „ulać“. Dlatego też ministerstwo poleca, aby przy takich egzaminach wstępnych oprócz nauczycieli gimnazjalnych byli obecni reprezentanci nauczycielscy ze szkół powszechnych, którzyby swoim wychowankom nie dali zrobić krzywdy.

Jedną tylko wadę ma omawiane przez nas rozporządzenie. A mianowicie powiada ono, że kuratorowie szkolni mogą tworzyć takie klasy równorzędne. Mogą to nie znaczy, że muszą. I wobec tego może zajść ta ewentualność, że kuratorowie szkolni albo bardzo mało będą tworzyli takich oddziałów równorzędnych, albo ich wcale nie utworzą. Będzie to zależało tylko od ich dobrej woli. Chyba że ministerstwo innem rozporządzeniem ich do tego zmusi.

Jeżeliby zaś kuratorowie szkolni do powyższego rozporządzenia wszędzie się zastosowali i potworzyli przy wszystkich gimnazjach takie oddziały równorzędne, byłoby to wielkie dobrodziejstwo dla biednej ludności, która mogłaby prędzej kształcić swoje dzieci. Boć przecie wiadomo, że łożenie kosztu na kształcenie dziecka przez pięć lat czyni znacznie mniejszy uszczerbek w dochodach każdego, aniżeli jeżeli te wydatki musi ponosić przez lat ośm.

Aby jednak kuratorzy nie spaczyli owego rozporządzenia ministerjalnego, musimy tego sami dopilnować przez naszych posłów i żądać od nich, aby tam, gdzie przy gimnazjum takich oddziałów równorzędnych nie będzie, o nie się wystarali.

DONAT LESIOWSKI. (Przedruk wzbroniony).

Szlakiem idei.

Powieść.

IX.

Wpośród krwawego zamętu rewolucji rosyjskiej, polskie organizacje przemyśliwały nadtem jakby ratować swoich ludzi. Toteż jednostki stojące na czele, zaczęły organizować partyzantkę, która miała wyruszyć do Polski.

W lesie, niedaleko Białej-Cerkwi, zorganizowani Polacy, zaczęli ściągać żywność, i co kto mógł, ładując na wozy. Z lasu miano wyruszyć niebawem dalej, do magazynów „białych", które leżały po drodze do Skwiry, gdzie omówiono miejsce ogólnej zbiórki.

Państwo Łastowscy zostali też zawiadomieni o organizującej się partyzantce, w kilka dni po ukryciu się Gustawa w grobie. Zaraz też brat Gustawa udał się na cmentarz, aby go zawiadomić, gdzie się gromadzą Polacy, i jako jedyny sposób uniknięcia pościgu, radził mu przyłączyć się do partyzantki. Gustaw ucieszył się niezmiernie, gdyż ujrzał nareszcie wybawienie, i tegoż jeszcze wieczoru wyszedł z ciemnego grobu, podążając do domu, aby się pożegnać z rodziną, a za chwilę, szedł już wpośród nocnych ciemności, w stronę lasu, gdzie zbierali się partyzanci.

Gdy znalazł się wreszcie między zgromadzonymi Polakami, odetchnął z ulgą, i zaczął snuć swoje dawne marzenia o Polsce..., które miały się nareszcie ziścić, i zaprowadzić go po wielu trudach, do umiłowanej ojczyzny.

Noc tą Gustaw prześnił spokojnie, owinięty w kożuszek, na jednym ze stojących wozów, a skoro świt, obudzili go czuwający ludzie, gdyż ruszano za chwilę w dalszą drogę.

Następnego dnia po wyruszeniu partyzantki — do domu państwa Łastowskich przyszło trzech uzbrojonych bolszewików, którzy zażądali kategorycznie wydania im Gustawa, w przeciwnym razie grożąc aresztowaniem całej rodziny.

Pan Łastowski nie widząc wyjścia z tej przykrej sytuacji, oznajmił domagającym się bolszewikom, iż Gustaw wyjechał do Kijowa, lecz adresu jego nie posiadają, i choćby naprawdę zaaresztowali całą rodzinę, to więcej się też nic nie dowiedzą.

Bolszewicy zanotowali sobie zeznanie, i odgrażając się domownikom odeszli, nie aresztując narazie nikogo.

W domu państwa Łastowskich zapanowała teraz przykra cisza wyczekiwania, gdyż wiedziano, że Gustawa w Kijowie nie znajdą, a jaki obrót przybierze sprawa, nikt na to nie mógł dać odpowiedzi.

W Kijowie tymczasem zaczęli bolszewicy poszukiwania, posługując się jak zwykle tajnymi szpiegami. Wkrótce też niewiadomo skąd, dowiedzieli się, że zamieszkuje tam córka państwa Łastowskich, u której spodziewali się , iż napewno przebywa poszukiwany Gustaw.

Pewnego też poranku pani Czernicka krzątała się po mieszkaniu, lecz jakiś niepokój ją ogarniał coraz bardziej, z którego nie umiała sobie zdać sprawy...

Mąż jej wyszedł przed chwilą na miasto, więc sądziła, że to jemu może co zagraża, i niespokojnie nasłuchiwała, czy nie wraca. Wtem zakołatano do drzwi, i z hałasem weszło trzech uzbrojonych bolszewików.

— Gdzie jest brat pani, Gustaw Łastowski? — zapytał jeden z nich ostrym głosem. — Żądamy natychmiastowego wydania go władzy bolszewickiej, albo pogadamy inaczej...

Pani Czernicka przestraszona, odpowiedziała, że nie wie nic o bracie, gdyż wcale go nie widziała już od bardzo dawna. Bolszewicy jednak nie uwierzyli, a przetrząsnąwszy cały dom i nie znalazłszy nikogo — rozkazali, by pani Czernicka udała się wraz z nimi na śledztwo do czerezwyczajki.

Z ogromną trwogą młoda kobieta pospieszyła za nimi do urzędu, gdzie komisarz po przesłuchaniu jej, kazał wtrącić do ciemnego więzienia.

I zaczął się teraz snuć dramat, jeden z tysiąca...

Po kilkugodzinnem milczeniu, otworzyły się ciężkie drzwi ciemnicy, i wszedł bolszewicki komisarz.

W kącie utulona, na mokrej od wilgoci ziemi, drżała od zimna i trwogi młoda polska kobieta.

Komisarz przystąpił do niej bliżej, oświecił jej twarz elektryczną latarką, i jak drapieżny zwierz przypatrywał się przez chwilę bezbronnej ofierze.

— Gdzie się znajduje brat pani — rzucił wreszcie pytanie, od którego dreszcz przebiegł po członkach kobiety.

— Już mówiłam, że nie wiem, gdzie się znajduje... Nic o nim nie wiem!...

— A ja radzę powiedzieć prawdę... gdyż inaczej, nie zobaczy już więcej pani świata, ani rodziny; ale przedtem czeka panią jeszcze niejedna słodka chwila — dodał cynicznie, podchodząc bliżej.

— Panie komisarzu! — wyszeptała drżąca kobieta składając ręce. — Ja nie wiem nic... i choćby pan wykonał swoją groźbę, nic panu nie odpowiem, gdyż brata u mnie nie było, i od bardzo dawna nie widziałam go wcale.

— I nic pani nie wie więcej?!...

— Nic!

— No to odpokutuje pani za niego... musi stać się zadość sprawiedliwości, — rzekł, śmiejąc się szatańsko. — Ale tymczasem, oddasz mi to, co masz w sobie najlepszego, to jest swoje kobiece wdzięki.

Błyskawicznie porwał strwożoną kobietę w swoje żelazne ramiona, i przyciskając się do niej mocno, szukał swemi ustami jej ust.

Widząc niebezpieczeństwo jakie jej zagraża, pani Czernicka otrząsła się z trwogi, i zaczęła się bronić z rozpaczliwą mocą. Nastała nierówna walka, w pośród więziennych ciemności, w której po długiem szamotaniu uledz jednak musiała brutalnej przemocy, młoda kobieta.

Kiedy po jakimś czasie obudziła się z omdlenia, nie umiała sobie narazie uprzytomnić, co się z nią działo. Lecz powoli wracała pamięć... Stanęło przed nią straszliwe widmo, dopiero co przeżytej hańby, i jak kościotrup, drwiło z jej obrazy... szczerząc ku niej ostre zęby w szatańskim uśmiechu. Dreszcz wstrząsnął ciałem kobiecym, a rozszerzone trwogą oczy wpatrywały się nieruchomie w otchłań rozpacznej ciemności, kędy się śmiało okropne widmo...

Upływały godziny jak wieczność długie, a młoda kobieta siedziała wciąż nieruchoma, oczekując z zapartym oddechem okropnego przeznaczenia, które zbliżało sę ku niej szybko w krwawym pochodzie...

Około północy zgrzytnął klucz w zamku.

Wpółsenna i zdrętwiała z trwogi, drgnęła kobieta... Przez mózg błysnęło tysiące migawkowych obrazów życia... rozpływając się w morze czerwonej krwi, która spływać zaczęła po cieniuchnej przędzy nerwów, do głośno bijącego serca.

Oparła się o ścianę przymykając oczy — gdyż w tej chwili weszło trzech oprawców z nabitymi kara-

binami, rzucając promień elektrycznego światła na jej śmiertelnie pobladłą twarz.

— Wstać! — rozkazał jeden z oprawców. A kiedy pani Czernicka chwiejąc się powstała — przybyli zaczęli ją oglądać, mlaskając językami z lubością.

— Ot, niczego... niczego Laszka!... można się jeszcze pobawić... Szkoda rzucać zaraz do ziemi takie czerstwe ciało. No pani!... nie upieraj się, i przed pójściem do swoich... pohulaj z nami niemnożko...

Oddając karabin drugiemu, ten co tak drwiąco przemawiał, zbliżać się zaczął do kobiety, która stała teraz z otwartemi szeroko oczyma, wpatrując się w napastnika.

I nim on zdążył ją pochwycić, jak zamierzał, kobieta skoczyła ku niemu, ze zwinnością ściganej sarny, i wpiła swoje różowe paznogcie w jego szyję. Niespodzianie tak zaskoczony żołdak stracił orjentację — gdy tymczasem białe ręce zaciskały się na jego gardle z coraz większą mocą.

Dwaj stojący towarzysze zaczęli się śmiać z awantury, dogadując trywialne anegdoty, ale gdy usłyszeli harczenie duszonego towarzysza, pospieszyli mu z pomocą, odrywając napół obłąkaną kobietę.

Walka nie trwała długo... Oderwana i rzucona na ziemię, leżała teraz obryzgana krwią... a okrótni oprawcy mścili się nieludzko, miażdżąc członki, i zadając śmiertelne razy kolbami karabinów... aż z pięknej i młodej kobiety pozostała tylko jedna krwawa plama na czarnej ziemi bolszewickiego więzienia.

Następnego ranka — gdy już może poraz dziesiąty, pan Czernicki przyszedł do czerezwyczajki, domagając się, by mu oddano żonę — komisarz rozkazał wprowadzić go do lochu, gdzie przy błysku latarki, ukazano mu czerwony od skrzepłej krwi trup, zamordowanej żony... która powiększyła grono męczeńskich ofiar bolszewickiego okrucieństwa.

X.

Wielu Polaków z Kijowa należących do organizacyj polskich, odeszło z partyzantką — lecz wielu jeszcze pozostało na dalsze krwawe losy.

Teror rewolucyjny nie ustawał — ścigano ludzi jak dzikie zwierzęta w lesie, i strzelano bez żadnego skrupułu, z szatańskim uśmiechem zadowolenia.

Gdy kogo zabrano do czerezwyczajki, temu już zawczasu można było postawić krzyż nad mogiłą, gdyż prawie nikogo nie wypuszczano z powrotem żywego.

Pewnego dnia aresztowano Stacha Wirowskiego kolegę Gustawa, który żałując opuścić matkę, nie wyruszył z partyzantką do Polski.

Gdy Stacha uwięziono, biedna matka nie zważając na nic, przyszła do czerezwyczajki, aby wybłagać uwolnienie dla syna.

Lecz nie tak łatwo było zmiękczyć serce tych ludzi bezwzględnych, przywykłych do mordu i krwi. Toteż komisarz nie chciał nawet słuchać próśb kobiety, twierdząc, że syn jej skazany już jest na rozstrzelanie.

Wówczas nieszczęśliwa matka padła na kolana, i włócząc się u nóg kata, błagała litości...

A w błaganiu tem drżała cała zrozpaczona dusza, kobiety-matki... drżał ból najgłębszej jaźni napięty aż do zenitu... i najtkliwsza struna ludzkiej miłości, która drga tylko w sercu matki przed kołyską niemowlęcia... lub nad trumną ukochanego syna...

Ale nie odczuł tego wszystkiego twardy bolszewik, zniecierpliwiony pragnął się uwolnić jak najprędzej od błagań zrozpaczonej kobiety.

Po krótkiej chwili namysłu odpowiedział, przybierając ton łagodniejszy; że uległ prośbom matki, i w tej chwili zatelefonuje, by syna jej wypuszczono. Wziął słuchawkę telefonu, i głośno, aby było słychać, dał rozkaz uwolnienia. Lecz nie czekając na podziękowanie, wyszedł do innego przedziału, zamykając drzwi za sobą; i w tej chwili usłyszała biedna matka inny rozkaz, podany telefonem przez też same usta — który jak ostry zgrzyt zabrzmiał: Roztrelat!

Tak się naigrawali bolszewicy z ludzkich łez i bólu — w twardych ich sercach nie powstało nigdy uczucie litości dla bliźniego. Siła, gwałt i zbrodnia, szły wspólnie, niszcząc wszystko po drodze, co tylko zdało im się być szlachetniejszem lub wyższem ponad ich krwawe dążenia.

Tegoż jeszcze dnia Stacha Wirowskiego rozstrzelano w lochach czerezwyczajki, a skoro biedna matka dowiedziała się o spełnionym wyroku, zaśmiała się okropnym obłędnym śmiechem... i od tej chwili śmiała się już tak ciągle, a z oczu nieprzytomnych spływały gorzkie łzy...

I nie jedna ona, opłakiwała swego syna w rozpacznym obłędzie — setki matek i żon, po utracie swoich najdroższych, błąkały się po niepoświęconych cmentarzyskach... i na krwią zbryzganych mogiłach zawodziły swój obłędny śpiew.

Gdy partyzanci odchodzili do Polski, namawiano księdza Mirskiego, by szedł razem z nimi — lecz on mimo, że wiedział, co go czeka, postanowił wytrwać na posterunku aż do końca. Do tej pory niemal cudem żył jeszcze w pośród tej strasznej nienawiści do wszelkiego duchowieństwa — ale każda chwila była już tylko darowaną przez okrutne szyderstwo bolszewickie, by dłużej poigrać ze swoją ofiarą.

Dawno już ich szpiegowskie sieci omotały życie i czyny księdza patrjoty. Wiedziano w czerezwyczajce dobrze, iż ksiądz Mirski stoi na czele organizacji polskiej — wiedziano, iż wszelkie nici konspiracyjne wiążą się w jego dłoni... i dlatego czekano jeszcze z krwawym wyrokiem, aby pochwycić go wówczas, kiedy najbardziej będzie potrzebny u steru pracy organizacyjnej.

Po odejściu partyzantki — do której zorganizowania przyczynił się najbardziej ksiądz Mirski — rozpoczął nową pracę z pozostałymi Polakami. Skupiał wszystkich w jedno kolisko, uczył jak mają postępować, w tych strasznych dniach zamieszania, pocieszał wątpiących, i ostatkami zapasów wspomagał potrzebujących i głodnych.

Aż wreszcie nadszedł straszny moment; księdza Mirskiego aresztowano.

I oto w ciemnych lochach bolszewickiego więzienia, zaczęła się znowu jedna z najstraszniejszych tragedyj krwawego pokłosia...

Wszystko, co tylko wymyślić mogła okrutna nienawiść katów, aby umęczyć księdza Polaka — wszystko to wykonano z zawziętością, na ciele tego człowieka bohatera... którego pobladłe usta nie wydały jęku, poruszając się tylko słabo w niemej modlitwie do Boga.

Inkwizycja bolszewicka złożona z kilku najokrutniejszych ludzi, postanowiła powolnemi torturami zamordować przewodnika idei polskiej i katolickiej — żądając przedtem wydania wszystkich Polaków należących do jakichkolwiek organizacyj.

Usta księdza uparcie milczały na wszystkie zadawane pytania — choć oczy już zachodziły mgłą przedśmiertnego cierpienia.

Zniecierpliwieni oprawcy wymyślali coraz to nowe męczarnie... lecz ani jedno słowo, oskarżające bliźniego, nie wyszło przez usta męczennika.

Kiedy omdlewał, wyczerpany torturami — wówczas cucono go, skrapiając wodą, aby dłużej mógł wytrzymywać nieludzkie męczarnie.

Po paru godzinach najokropniejszych mąk, postanowiono wreszcie przerwać tortury — pozostawiając na pół żywego więźnia, na garści zgniłej słomy w pośród nieprzeniknionych ciemności.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wojna w roku...

Było to w roku 194...

Nastąpiła straszna wojna, jakiej jeszcze nie było, wojna gazowa.

Aeroplany jeździły w przestworzach, okrążając ważniejsze fortyfikacje i rzucały od czasu do czasu bomby, którem najsilniejsze budynki nie stawiły oporu. Uciekających ludzi truli gazami, rzucając z góry bomby gazowe. Gaz ten był cięższy od powietrza, przeto nie ulatniał się szybko, lecz rozszerzał się po ziemi; wskutek tego lotnicy nie czuli niebezpieczeństwa przed zatruciem. I byliby czuli się panami sytuacji, gdyby nie nieprzyjaciel, który zorganizował również pewną ilość samolotów, a siedzący w nich piloci starali się jakimkolwiek sposobem unieszkodliwić nieprzyjaciela.

Toczyła się ta walka pomiędzy dwoma narodami — olbrzymiemi. Jeden z tych olbrzymów, miał pewną wygraną, gdyż przeciwnik stracił już wszystkie samoloty w tej wojnie.

Ludność tak z jednej jak i z drugiej strony, atakowana bombami gazowemi, nie obawiała się tych ostatnich, ucząc się przed wojną, jak trzeba postąpić, by się nie otruć i w jaki sposób należy ratować zatrutego. Noszono więc maski chroniące przed gazem trującym, a umożliwiające im oddechanie. Jedynie bomby wyrządzały straty w ludziach i budynkach, równając wszystko z ziemią.

Nieprzyjacielowi chodziło już tylko o zdobycie pewnej twierdzy, która jednakowoż była pilnie strzeżona przez wojsko. Nie było możliwem zbliżyć się nieprzyjacielowi do twierdzy, tak na ziemi, jakoteż w powietrzu. Była bowiem broniona minami, założonemi wokoło twierdzy. Nocą zaś rzucały reflektory światła, mogące zdradzać każdy ruch nieprzyjaciela. Do zbliżającego się aeroplanu wysyłano promienie, mające własność wstrzymywania motoru, który musiał spaść na ziemię, grzebiąc siebie i lotników w ziemi.

Twierdzą tą kierował osławiony poprzedniemi wojnami komendant, nosząc na piersiach swych złote i srebrne pamiątki. Był to człowiek wysoki i barczysty, lecz młody jeszcze, bo liczył zaledwie 35 lat. Pomimo jednak młodego wieku, siwizna przyprószyła mu już nieco włosy. W domu zostawił żonę i czworo dzieci na łasce Bożej, idąc na wojnę służyć Ojczyźnie.

Możnaby śmiało rzec, że twierdza ta jest nie do zdobycia. Broniono się już w niej przeszło trzy miesiące. Komendant twierdzy oczekiwał lada chwila odsieczy, lecz nie od swych ziomków, bo ci byli już pod panowaniem nowego władcy, który w tej wojnie zwyciężył i sobie służyć kazał. Nie oczekiwał więc pomocy, nie mógł żądać tego od swego kraju, lecz odsieczy pragnął i co dzień się spodziewał od państwa sąsiedniego, które mu tę przyrzekło.

Trzy miesiące z górą już minęło, a odsiecz nie przybyła, a zrozpaczony komendant miał chęć oddać twierdzę swym wrogom. Lecz myśl o odsieczy wstrzymywała go od tego haniebnego kroku. Nie wiedział nic co się działo poza twierdzą, gdyż ta położona prawie w środku państwa, odciętą była od świata. Nie mógł więc słyszeć o zbliżającej się w rzeczywistości odsieczy, lecz sam postanowił bronić się ostatkami sił, pomimo braku żywności i stałego wyczerpywania się amunicji. I nikt z podobnych jemu nie narzekał, stojąc wiernie na wyznaczonym mu posterunku, oczekując tej chwili, kiedy nadejdzie pomoc, by wyrzucić z kraju wroga i powiedzieć sobie:

— „Nareszcie Ojczyzna jest wolną!"

Lecz jakże powoli zbliżała się odsiecz, z powodu walki z nieprzyjacielem, torując sobie drogę ku twierdzy. Im głębiej wdzierali się wybawcy, tem natarczywiej szturmowano do twierdzy. Tu pozostała już tylko nie wielka ilość obrońców, która z trudem odpierała ataki nieprzyjacielskie. Drugim wrogiem dzielnych obrońców, to była straszna i nieubłagana śmierć — głód. Wyczerpany fizycznie komendant, liczył już nie dnie, lecz godziny, kiedy wkroczą nieprzyjaciele do twierdzy.

Nazajutrz około południa wśród okrzyków „hurra! hurra!" zdobywano bezsilną już twierdzę. Z drugiej strony twierdzy, jak echo powtórzyła odsiecz słowa: „hurra! hurra!"

Lecz było już zapóźno.

Po wypędzeniu nieprzyjaciela z twierdzy przez wojsko sprzymierzone, szukano komendanta, jednak napróżno. Jeden jeszcze z dogorywających żołnierzy wskazał ręką na martwe zwłoki komendanta. Strasznie on wyglądał. Przebity szablą na wskróś, z twarzą wykrzywioną, trzymał tylko kurczowo w prawej ręce pistolet.

Tak skonał wytrwały obrońca, nie doczekawszy się oswobodzenia Ojczyzny.

Mieczysław Stawarz.

Trzy ziarenka.

Wyszłam sobie jasnym rankiem na szerokie pole,
I rzuciłam trzy ziarenka w zaoraną rolę:

Jedno ziarnko, to pszenica, złoty kłos z niej będzie,
Ale złoto nie dla wszystkich, wyrasta nie wszędzie...

Drugie ziarnko, koniczynka, rzucam w żyzną rolę,
Przyda-że się dla bydełka i ustroi pole.

Trzecie ziarnko, ziarnko żyta — czarny chleb to będzie,
Ale zdrowy dla człowieka, dla wszystkich i wszędzie.

Rośnijcie mi trzy ziarenka, plon wydajcie w Roli;
Złote grona... wonne kwiaty... i chleb dla niedoli.

Kachna Ł. Łza.

POD GORĄCEM NIEBEM AFRYKI.



Przebywanie stałe pod skwarnem niebem Afryki, przebywanie rozłożone na długie miesiące i lata, jest dla Europejczyka, ze względu na klimat tamtejszy, bardzo przykre. Co innego podróż parotygodniowa lub paromiesięczna dla poznania kraju, roślinności, mieszkańców, ich zwyczajów i obyczajów — a co innego pobyt z obowiązku wśród skwaru afrykańskiego słońca. Niestety jednak wielka ilość Europejczyków skazaną jest na życie w tej części świata. Do nich należą wojska oraz cywilni urzędnicy państw europejskich, które pozajmowały poszczególne kraje afrykańskie, czyniąc z nich tak zwane »kolonje«. W Afryce posiadają kolonje Francuzi, Anglicy i Włosi.

Obrazek nasz przedstawia osadę murzyńską w południowej Afrycc, w Kamerunie. Podróżnicy zatrzymali sie pośród lasu dziewiczego w porze obiadowej. Murzyni służący im, rozłożyli przenośne namioty i zajęci są właśnie chłodzeniem trunków w butelkach. Chłodzenie to odbywa się tam w niezwykły sposób. Na sznurze przywiązanym między drzewami wiesza się w płótnach butelki, polewa się je ustawicznie wodą z pobliskiego źródła, a równocześnie huśta się sznur, na którym wiszą. Nie bardzo zapewne, ale przynajmniej cokolwiek ochłodzi się w ten sposób trunki, przywiezione z Europy lub sporządzone w Afryce, które ci spragnieni Europejczycy wypiją.

Ustrój wszechświata.

Na określenie czegoś małego używa się często powiedzenia: mały jak ziarnko piasku.

To jednak nie jest jeszcze określeniem najmniejszej cząstki materji, bo ziarnko piasku można zgnieść, sproszkować, a gdy proszek zdmuchniemy, uniesie się pył w powietrzu. Pył to cząstki ziarnka piasku, jednak stokroć od niego mniejsze. Coś mniejszego od pyłu, już trudno człowiekowi wyobrazić sobie. A jednak można dzielić na mniejsze jeszcze cząstki. Weźmy np. ziarnko soli, rzućmy w odrobinę wody. Sól wnet zniknie bez śladu, natomiast woda będzie miała smak słony. To znaczy, że sól podzieliła się w wodzie na tak małe cząsteczki, że ich dojrzeć absolutnie niepodobna. Te cząstki nazywają się atomami.

Atom jest to najmniejsza cząstka jakiejś materji, która, na jeszcze mniejsze cząstki, w żaden sposób już się dzielić nie da.

W podobny sposób można dzielić wodę, powietrze, żelazo, fosfor itd.

Z tysięcy atomów różnych materyj, składa się komórka.

Komórka jest to istota żyjąca, jednak tak mała, że można ją widzieć dopiero przez szkła powiększające.

Miljardy komórek żyje w wodzie, miljardy buja w przestworzu, tryljony żyje w stworzeniach, a więc i w człowieku. W wodzie można widzieć komórki przez szkło powiększające. Na dowód, że są w powietrzu, niech posłużą przykłady.

Mleko słodkie postawione dłuższy czas kwaśnieje. Jeżeli zostanie strawa od obiadu, często do drugiego dnia skwaśnieje. Te zjawiska czasem wykorzystujemy. Na przykład kwasimy kapustę, ogórki, ciasto na chleb. Kwaszenie to nie odbywa się, ot, tak samo przez się, ale ma swój powód. Albowiem do ciasta, czy mleka, dostał się ten gatunek komórek, który powoduje kwaśnienie, rozmnożył się zbytnio i sobą zakwasił mleko, czy ciasto. Gdybyśmy ciasto na chleb za długo kwasili, to te komórki, tak by się zbytnio rozmnożyły, że chleb byłby niemożliwie kwaśny. Gdy jednak w porę wsadzi się ciasto w piec, gorąco zabija komórki jako żyjątka, i chleb więcej nie kwaśnieje po upieczeniu. Natomiast, gdy długo poleży w wilgoci zaczyna pleśnieć. Bo oto inne komórki, powodujące pleśń, dostały się na chleb.

Komórki potrzebują do życia wilgoci i ciepła. Stąd wilgoć sprzyja gniciu, pleśnieniu, butwieniu, stąd w lecie najczęściej wybuchają choroby zakaźne.

Trzeba bowiem wiedzieć, że choroba nie powstaje z niczego, ale przez to, że do organizmu człowieka dostały się komórki danej choroby, bardzo się w człowieku rozmnożyły, niszcząc równocześnie organizm, a więc człowiek czuje się chorym.

Każda choroba ma swój gatunek komórek. Komórki te nazywają się bakcylami. Bakcyle bujają w powietrzu, czy w człowieku niezależnie jeden od drugiego.

Z miljardów, jednak odmiennych komórek, złożone są stworzenia i rośliny. Komórki te, są zrośnięte z sobą w całość, w stworzenie.

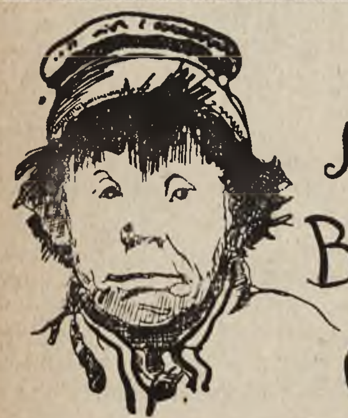
Co jest jednak stworzenie, to chyba każdy wie, bo stworzeniem jest człowiek, słoń, mysz itd.

Stworzenia i rośliny zamieszkują ziemię.

Ziemia to jedno z tysięcy ciał niebieskich rzuconych w przestworza.

Trudno przypuścić, aby z tysięcy planet, gwiazd i ciał niebieskich, jedna i tylko jedna ziemia była zamieszkana przez żywe istoty. Przecież gwiazdy, to ziemie takie jak nasza, to słońca wobec których nasza ziemia jest niczem, więc bez celu nie są rzucone na błękitach.

Te planety, bezustannie wirują dokoła swych słońc, słońca wraz z planetami suną w przestworza, w nieskończoność, w zgodzie, w porządku majestatycznym, bo nad Wszechświatem czuwa oko Wszechmocnego Stwórcy.



MACIEK BZDURA GADA:

Od tego wielgaśnego gorąca to człekowi niemal kiski na wszyćkie boki nie wilizą. Z góry grzeje, z dołu grzeje i z boku grzeje, a choć człek dmucha koło siebie na wszyćkie strony, to nic nie pomaga, ino dalej gorąco i gorąco. Wypijes garnusek wody, to z ciebie dwa jej wyjdzie. Bez to człekowi ani do roboty wziąć sie nie chce, inoby ciągiem lezał pod łujkową gruską w cieniu gałązek i puscał ze siebie pare, coby go tak na wnątrzu nie paliło. Ale zeby to tak mozna! Ino raniusieńko słonko wylizie zza plebańskiej stodoły, juz trzeba źgać na pole z sierpem i cały dzień skulony smiatać kłóska po zagonach. Człek sie tak uselence, ze wele połednia brzdecnie gdzie w cieniu, jak długi, kikuty wyciągnie, gębe ozdziawi i wygrywa chrapanie garliskiem, kieby jaki organista. Z wielgaśnego gorąca nic człekowi sie nie składa, jedno ino jedzenie jesce jako tako idzie.

W takie urocyste bezpołudniowe chrapanie nie zbudzi człeka ani mucha, ani bąk, ani pies, ani nawet pieruny niebieskie, choćby i bez tydzień waliły, chyba jezeli grzysi przyniosą jakiego człowieka inksego i ten chrapanie człekowi przerwie.

Wkiejsik takie nieszczęście mnie spotkało, jagem se lig pod łujkową gruską. Inom lig, przylaz jakisik pajac miastowy, co to — pada — na świze powietrze do Psi Wólki przyjechał i zacyna ze mną gadke:

— A to wy, panie Macieju — pada — co tak w „Roli“ do śpasu gadacie?

— A no niby ja... bo co?

— A no nic, inom was chciał poznać i z wami troche pogwarzyć.

— A wyście co? — ja znowu na to.

— No, ja jezdem z miasta... Piórkiewic — on na to. — Przyjechałem do Psiej Wólki na świze powietrze.

— Cie go! A cemuzeście w mieście to swoje powietrze zapaskudzili tak, ze go musicie jaze po Psich Wólkach sukać? Wyrzućcie z miasta żydów i komunistów, a bedziecie mieli u siebie tyle świzego powietrza, ze go wam po obcych kątach sukać nie bedzie potrza.

— Przecież oni powietrza nie zapaskudzają?

— Jagze nie? Byłem ja przecie i w Warsiawie, i w Krakowie i we Lwowie i w inksych miastach i widziałem, co sie gdzie dzieje. Przy tych ulicach, przy których miskają katoliki, to jest cyściutko i ładnie. Ale tam, gdzie zydy, Boże odpuść, śmierdzi tam tak, ze trzeba smatami nos zatykać, zeby go nie pokręciło.

— No niby słusnie, panie Macieju, ale co na to poradzić?

— Na wszyćko jest rada. Jakbym był takiem miastowem wójtem, to gdziebym ino wywąchał brud i smród, tobym takiemi karami sypał, ze i same zydy porządkuby pilnowały i grajcarby sie znalaz na zrobienie jesce większego porządku.

— Prawda, prawda, zeby to nie źle było! No rozumiem, ze zydy przycyniają sie do nieporządku, ale nie wiem, co mają z tem wspólnego komuniści?

— Komuniści tak wprost miasta nie zaniecyscają, ale tumaniąc ludzi i odwodząc ich od ućciwej pracy, są rozsadnikami zarazy, jaka sie coraz bardziej w kuzdem mieście szerzy. I powiadam wam, ze jak sie do nich rząd i sejm porządnie nie zabierze, to narobią takiego świństwa w całej Polsce, ze sami w niem zgniją i inksych o chorobe i śmierć przyprawią.

— Wicie, ze to co powiadacie — pan Piórkiewic na to — to mi sie słusne wydaje. Ale niby to myślicie, ze jeden, choćby chcioł, to temu tałatajstwu da rade? Powiadam, choćby chciał, to ich nie zmoze!

— To sie chyćcie w kupe i rade jem dacie! — ja mu na to.

— Oj nie damy, nie damy!

— Nu juści, jak kuzden tak powie, to z pewnością nie dacie rady, ale niech ino jeden zacnie, a drugi mu pomoze, to i inksi sie do was przyłącą i ani nie spostrzezecie, jak i w miastach zrobi sie świze powietrze.

— Nie wiedział, co mi na to ma rzec, więc pocął do mnie z innej becki.

— Ta wasa „Rola“ — powiada — toby ta jesce ulazła, ino trzebaby do niej troche polityki, bo dzisiaj cały świat prawie polityką zyje. A tak to nie wiada, cy ona ludowcowa tych ludowców od Witosa, cy tych od Stapińskiego, cy tych od Wyzwolenia, cy tych od Okonia, cy tych od Bryla, cy ona jest wsiepolska, cy mokratycna, cy bebeowa, cy inksa. Przecie u nas tyle różnych stronnictw, ze co jedno to lepse, a jesce ciągiem, jak grzyby po dyscu nowe wyrastają, a ino o „Roli“ nikt nie wie, do kogo ona nalezy!

— A wicie, co to polityka? — ja mu na to.

— No, polityka, to polityka!

— Acha, otóż nie! Polityka, to ino tumanienie ludzi. La tych, co robią politykę, to ona potrzebna i dobra, bo zyją z niej, ale la chłopa, cy takie stronnictwo weźmie góre, cy takie, to wszyćko jedno, bo jak chłop sam se nie posieje, sam pola nie obrobi i sam śniego nie zbierze, to zadna polityka mu jeść nie da i zadna go nie uscęśliwi. Polityka ino robi zamisanie w kraju, polityka budzi nienawiść i sprawia, ze kum z kumem za łby sie włócą, a nikomu najmniejsego scęścia nie daje. La tego tez, ze ma babską nature i babskie imie posiada. Bez to tez i „Rola“ do polityki sie nie misa, bo wie, ze wszelkie politycności funta kłaków nie warte.

Ślepa niewolnica.

III.

Kto był mordercą?

Jan Sobieski na wiernym swoim koniu przybył nazajutrz rano do rozległych posiadłości bogatego wojewody warszawskiego. Michał Wassalski był jednym z najbogatszych i najpotężniejszych przywódców ludu i niegdyś z Jakóbem Sobieskim ubiegał się jednocześnie o kasztelanję krakowską. Jednakże ponieważ z powodu ponurego charakteru nie był lubianym przez posłów, więc tak dawniej, jakoteż przy wyborach został pominięty.

Gdy wojewoda Wassalski spostrzegł przed zamkiem obcego jeźdźca, zatrzymał się na chwilę. Twarz jego zachmurzyła się. Zbliżył się do swojej małżonki Jagiellony, która podobnież przypatrywała się gościowi.

— Jeżeli się nie mylę, — szepnął tak, żeby jadący za nimi strzelcy nie słyszeli tych słów, — to ten młodzieniec jest Janem Sobieskim.

Na marmurowo bladem obliczu Jagiellony, odbiło się wrażenie, jakie na niej uczyniły te słowa. Na chwilę jednak tylko drgnęła jej twarz i wzrok błysnął, potem zapanowała nad sobą i przyjęła tę spokojną postawę, która ją czyniła podobną do marmurowego posągu. Jan Sobieski na koniu oczekiwał zbliżenia się orszku i pozdrowił ukłonem jadącą na przodzie parę.

— Jeżeli wyruszacie na wojnę i chcecie spocząć w moim zamku, to witajcie mile ktokolwiek jesteście, — rzekł doń Michał Wassalski, — zamek mój nikomu nie odmawia gościnności!

— Przyjmuję wasze zaproszenie na tę noc, dostojny wojewodo, — odpowiedział Jan Sobieski.

Jeden ze służących zbliżył się do niego, aby przytrzymać i odprowadzić jego konia. Podczas, gdy Michał Wassalski i jego małżonka zsiedli z koni, zeskoczył i ich gość ze swego wierzchowca i udał się z nimi do starożytnego zamku. Gdy wszedł do wysokiej, obszernej komnaty, w której już było nakryte do stołu, Jagiellona z zimnym uśmiechem zaprosiła go, aby zajął miejsce przy stole. Wzrok Jana Sobieskiego, skierowany był na piękną wojewodzinę, której królewska postać przypominała Junonę.

— Pozwólcie mi, zacni państwo, że przedewszystkiem wam powiem, iż ten, któremu udzielacie gościnność, jest synem zamordowanego na wiosnę Jakóba Sobieskiego, — zaczął młodzieniec zajmując wskazane sobie miejsce przy Jagiellonie. — Jestem Jan Sobieski!

— Z podwójną przyjemnością witamy w was syna szlachetnego kasztelana krakowskiego, — odpowiedziała Jagiellona, — pragniemy, aby naszemu gościowi w naszym zamku dobrze było i aby tu zabawił, dopóki mu się podoba. — Musicie być zmęczeni podróżą, rzekł po niejakim czasie Michał Wassalski do swego gościa, — sypialnia jest dla was przygotowana! Idźcie się pokrzepić spoczynkiem!

— Pozwól mi jeszcze jedno zadać pytanie, panie wojewodo, — rzekł Jan Sobieski, wstając jednocześnie z gospodarzem od stołu, — jesteś znany daleko i koło twych znajomych jest wielkie! Czy jaka wiadomość o mordercy mojego ojca do uszu twoich nie doszła?

Michał Wassalski, musiał wysileniem woli pokryć wrażenie, jakie na nim uczyniło to zapytanie.

— Nie słyszałem nic o tej walce, w której zginął wasz ojciec, — odpowiedział.

— A więc muszę szukać dalej, przysiągłem bowiem, że nie spocznę, dopóki mordercy nie wynajdę! — rzekł Jan Sobieski, odchodząc i życząc wojewodzie i jego małżonce dobrej nocy.

Służący czekał ze świecznikiem i zaprowadził gościa do przeznaczonej dla niego sypialni. Gdy Jan Sobieski odszedł, Michał Wassalski pochwycił namiętnie rękę Jagiellony, która stała wyprostowana i nieruchoma. Blada jej twarz, która przed chwilą uśmiechała się tak kusząco, przybrała przerażający wyraz.

— To on, — szepnął Michał Wassalski, — to Jan Sobieski, syn Jakóba!

— Piękny i dzielny młodzieniec, daję słowo! Dotrzyma on swej przysięgi!

— Do tego nie przyjdzie! — zgrzytnął zębami Michał Wassalski, ja go uprzedzę! Padnie, jak padł jego ojciec! Jemu przepowiedziano, że osiągnie koronę polską!

— Jemu... koronę polską!

— Ród Sobieskich wszędzie i zawsze wywyższał się nad ród Wassalskich, — mówił dalej wojewoda stłumionym głosem, — wiesz o tem, że ja sięgam po koronę, którą słaby król Jan II. niedługo już będzie nosił! A teraz los stawia mi na drodze tego, nad którego kolebką widać było koronę polską!

— A więc zdepcz go, aby zuchwałą ręką po nią nie sięgnął! — odpowiedziała Jagiellona.

Wyglądała w tej chwili jak szatan, wydający wyrok zatracenia na kwitnące młodością życie.

— Usuń ze swej drogi tę przeszkodę! — mówiła dalej, — Jan Sobieski, lub ty! Jeden z was tylko stanąć może u szczytu! A ja ci mówię, że jeśli go nie usuniesz, to on nie spocznie, dopóki nie znajdzie tego, kto podniósł rękę na jego ojca!

Z rana Jan Sobieski wszedł do pokoju, w którym z wojewodą i jego małżonką miał jeść śniadanie. Michał Wassalski przymuszał się do przyjaznego uśmiechu, Jagiellona wyglądała jeszcze bardziej uroczo niż poprzedniego wieczoru.

— Jakżeście spali w naszym zamku? — zapytała.

A gdy Sobieski odpowiedział jej, że się czuje bardzo pokrzepiony tym snem, rzekła dalej Jagiellona:

— W takim razie zapraszam was, imieniem mego małżonka, abyście pozostali jeszcze naszym gościem i wzięli udział w polowaniu, które dziś ma się odbyć. Przybędzie tu kilku wojewodów z małżonkami i będziemy bardzo szczęśliwi, jeżeli pozostaniecie z nami.

— Jakżebym mógł odmówić tak zaszczytnemu zaproszeniu, dostojna pani, — odpowiedział Jan Sobieski.

— Przypomina mi się jednak wesoła wiadomość, którą mi przyniosły moje służące, — mówiła dalej Jagiellona z szyderczym uśmiechem, — wszakże to obdarzacie swoją skłonnością służącą waszego ojca, świętej pamięci kasztelana?

Jan Sobieski spojrzał na mówiącą zdziwiony.

— Doniesiono mi, że na dole w stajniach przy waszym koniu znajduje się dziewczyna... ślepa niewolnica z Sziras.

— Sassa! — rzekł półgłosem Jan Sobieski. Głośno zaś dodał: — Szczególna to dziewczyna, dostojna pani! ślepa niewolnica, która się wychowała w domu mojego ojca! Sassa jest bardzo do nas przywiązana!

— Puściła się za wami w drogę. Jest to rzeczywiście wielkie poświęcenie ze względu na jej kalectwo!

Wkrótce potem przybyli do zamku goście zaproszeni na łowy i Jan Sobieski został im przedstawiony

przez Michała Wassalskiego i Jagiellonę. Zajęto miejsca i zaczęto rozmawiać o przygotowujących się nowych wojnach, o podróżach odbytych przez Jana Sobieskiego, o nowym kasztelanie krakowskim i o jego młodej małżonce. Podczas rozmowy pito wino, które obnosili służący.

— Nie wszyscy jednak możemy się poszczycić posiadaniem tego, co posiada nasz gość Jan Sobieski, — rzekła nagle Jagiellona do słuchających uważnie pań i panów, — cokolwiekbyście państwo mieli, jestem pewną, że nie macie tego, co nasz gość Jan Sobieski posiada!

Słowa te podnieciły ciekawość obecnych. Wszyscy zażądali od Jagiellony wyjaśnienia.

— Gość nasz Jan Sobieski posiada niewolnicę, dziewczynę z Sziras, — mówiła dalej Jagiellona, — która za nim idzie wiernie krok w krok. Nie byłoby to jeszcze nic tak dziwnego, ale dodać do tego trzeba, że ta niewolnica jest niewidomą!

— Niewidoma? I chodzi wszędzie za wami? — odzywały się różne głosy; — daję słowo, to niepojęte! to cud!

— Sassa chodzi lekko i pewnie, chociaż jest niewidomą, — rzekł Jan Sobieski, — jest to dobra dziewczyna! Sądzę, że dla mnie i dla mojego brata byłaby gotową poświęcić życie!

W kole ciekawych gości wyrażono życzenie ujrzenia niewolnicy i zwrócono się z prośbą do Jagiellony i Jana Sobieskiego z prośbą, aby ją przyprowadzić polecili.

— Sassa śpiewa ładne pieśni, ma bardzo miły i miękki głos, — opowiadał Jan Sobieski. — Więc niech zaśpiewa! Przyprowadźcie ją tutaj! — rozkazała Jagiellona.

Wkrótce potem otworzyły się drzwi. Na progu ukazała się ślepa niewolnica w szarej prostej sukience. Gdy przestąpiła próg, stanęła wsłuchując się. Ruchy jej były zrazu niepewne, jakby się obawiała tego miejsca.

— Wezwałeś mnie, panie — rzekła przyklękając, — przebacz biednej Sassie, że się, udała za tobą!

—Wstań Sasso, — rzekł Jan Sobieski, — zaśpiewasz nam jedną z twych pięknych pieśni!

Sassa była posłuszną, choć doznawała niedającego się opisać wstrętu do innych obecnych, a szczególniej do Jagiellony. Zaśpiewała miękkim dźwięcznym głosem.

— Pięknie śpiewasz dziewczyno! zawołała Jagiellona, — śpiew twój podoba mi się! Sama jesteś skowronkiem!

— Jagiellona patrzyła uważnie na Sobieskiego i na dziewczynę. Djabelski wyraz przebiegł na chwilę jej piękną, jak z marmuru wykutą twarz.

— Wyznam wam, że nigdy nie słyszałam służącej, którąby śpiewała tak pięknie, — rzekła, — kupię od was ślepą niewolnicę z Sziras, panie Sobieski.

Sassa słyszała te słowa... drgnęła... rysy jej wyrażały niewypowiedziany przestrach.

— Jeżeli pani i jej małżonkowi sprawi to przyjemność, — rzekł Jan Sobieski do Jagiellony, — to podaruję państwu ślepą Sassę. Jest wierną sługą, a wiem, że pani dobrą dla niej będzie.

Sassa słyszała te słowa. Z trudem zebrała siły, aby nie upaść pod strasznym ciosem tej złowrogiej wieści... Słowa te powiedział Jan Sobieski, ten sam za którym puściła się w drogę! Darował ją! Zdawało jej się, że straci zmysły. Nie słyszała już, co mówiła Jagiellona, opuszczając pokój z Janem Sobieskim. Dręczyła ją boleść gwałtowna. Gdy pozostała sama padła na dywan. Zasłoniła drżącemi rękami bladą twarz i ciche łkanie rozległo się po komnacie. Serce pękało z bólu biednej, ślepej niewolnicy..

IV.

Szlachetna zwierzyna.

Rozpoczęło się polowanie. Wspaniała kawalkada puściła się ku ciemnym drzewom lasu. Na przodzie jechała uśmiechnięta Jagiellona z Janem Sobieskim. Michał Wassalski z innymi gośćmi jechał za nimi. Strzelcy zamykali malowniczy orszak, który po chwili znikł w ciemności lasu. Sassa pozostawała sama na górze w zamku. Nikogo ze służby nie było przy niej. Zapomniano o niej zupełnie. Po przeminięciu pierwszej boleści zerwała się nagle. Dziwna jakaś myśl zdawała się ją ożywiać. Rysy jej zdradzały, że była przejęta czemś silniejszem nad boleść. Rogi myśliwskie, coraz słabiej odzywały się w oddali. Jan Sobieski z wojewodą Wassalskim i jego małżonką udał się do lasu, nie przeczuwając żadnego niebezpieczeństwa. Ślepa niewolnica czuła jednak, że mu tam niebezpieczeństwo zagraża, straszne niebezpieczeństwo, którego się nie spodziewał. Drżała o życie Jana. Lecz jak go znaleść? Jak zbliżyć się do niego niepostrzeżenie? Była ślepą! Przestrach przejmujący ją aż do głębi nie pozwalał namyślać się i zwłóczyć! Musiała go znaleść i ostrzedz! Czy on jednak nie pomyśli, że przestrzega go dlatego tylko, aby przed nim podać w podejrzenie tę, której ją darował? Wszystko jedno! Sassa myślała tylko o konieczności uchronienia Jana Sobieskiego od nieszczęścia, które czuła, że mu grozi. Macając, doszukała się drzwi, wyszła na schody i opuściła zamek. Z oddali dochodziły do niej odgłosy wystrzałów i wskazywały kierunek, w którym udać się miała, aby znaleść Jana. Wkrótce przybyła do drzew lasu. Ostrożnie macając, zapuściła się w głąb. Nagle zatrzymała się. Bystry jej słuch ostrzegł ją, że było w bliskości dwoje ludzi rozmawiających z sobą po cichu. Nie poruszała się. Nie chciała się zdradzić. Dotknięcie ręką przekonało ją, że jest zasłonięta grubem drzewem. Pozostała poza niem. Poznała głos Michała Wassalskiego. Stłumiła w sobie oddech. Teraz Jagiellona odpowiadała po cichu. Oboje oddalili się niepostrzeżenie na kilka chwil i pozostawszy w tyle za innymi gośćmi, rozmawiali z sobą.

— Sposobność doskonała, Michale, nie znajdziesz lepszej, — szepnęła straszna Jagiellona.

— Więc dobrze! wszystko się rozstrzygnie w ciągu godziny, — odpowiedział ponurym, złowrogim głosem Wassalski, — powróćmy do polowania... orszak łowiecki zbiera się znowu na łące.

Odjechali. Głosy zamilkły. Sassa słyszała całą rozmowę. Serce jej drżało pod wrażeniem tych wiadomości. Przeczucie jej zostało potwierdzone w straszliwy sposób. Jan Sobieski był w największem niebezpieczeństwie. Polowanie miało dostarczyć pozoru do pozbycia się go, kula napozór przypadkowo wystrzelona miała go trafić. Sassa doznawała nieopisanej śmiertelnej trwogi! Musiała śpieszyć, musiała znaleść zagrożonego. Nie było sekundy do stracenia, ażeby nie przybyła zapóżno, gdyż ci straszni ludzie nie będą zwlekali ani chwili z wykonaniem swego krwawego planu. Poszła za odgłosem polowania. Rozlegały się echa wystrzałów. Niektórzy strzelcy musieli być w blizkości. Gdyby spotkała którego z nich, mogłaby go zapytać o Jana Sobieskiego. W śmiertelnej trwodze poszła dalej i zbliżyła się do miejsca, którem przejeżdżał właśnie orszak. Mogła rozróżnić pojedyncze głosy.

— Szlachetny panie Sobieski, do was należy zabicie jelenia, — zawołała Jagiellona w niewielkiem od niej oddaleniu, — memu mężowi nie udało się trafić go! Dalej! Próbujcie szczęścia.

W tej chwili Sassa, poznając straszne niebezpieczeństwo, z krzykiem postąpiła dalej. Słyszała i czuła, że się znajduje blizko tego, którego z taką trwogą szukała.

— Zabiję go, dostojna pani! — odpowiadał właśnie.

— Janie Sobieski! panie — dał się słyszeć głos ślepej niewolnicy, która instynktownie zwróciła się naprzeciw zadziwionego jej widokiem Sobieskiego, — panie! przez litość wysłuchaj mnie! — wołała załamując ręce.

— Czego chcesz tu na łowach, Sasso, — zapytał Jan Sobieski, spostrzegając ją przed sobą.

W tej samej chwili dało się słyszeć kilka wystrzałów... Sassa zachwiała się nagle.



Sassa upadła na mech.

— Panie... jestem raniona... Niebu niech będą dzięki!... Tę kulę przeznaczono dla ciebie! — zawołała słabym ale radosnym głosem Sassa, nie zważając na ból, który jej sprawiła rana.

— Raniona jesteś, dziewczyno? — zawołał Jan Sobieski przestraszony zeskakując z siodła.

Sassa upadła na mech i trawę. Krew płynęła jej z ramienia. Jan Sobieski podniósł obumarłą. Jagiellona patrzyła na to z wyrazem lodowatego szyderstwa w marmurowych rysach.

— Cóż znaczy jakaś niewolnica? — zawołała pogardliwie, — niech ją służba uprzątnie z naszej drogi!

Jan Sobieski nie słyszał tych słów, czy też nie uważał na nie?

— Cóż to?... co widzę?... Pan Sobieski sam niesie niewolnicę? — mówiła Jagiellona dalej, — na moją św. patronkę, to rzecz niesłychana!

Jan Sobieski poniósł Sassę do swego konia, posadził ją na siodło i wziął od strzelca cugle, pragnąc sam odprowadzić konia do zamku. Zbliżywszy się do tegoż, spostrzegł, że Sassa jst bezprzytomna. Zdjął ją z konia, zaniósł do swego pokoju i położył na łóżku.

V.

Ucieczka.

Jagiellona nie posiadała się z wściekłości, iż plan się jej nie udał. Postanowiła się zemścić na Sassie. W tym celu, zabrawszy kilku ze służby, poszła do pokoju, gdzie przebywała Sassa. Ta po chwilowem omdleniu przyszła już nieco do siebie. Sassa usłyszawszy szmer, zerwała się i poczuła przed sobą swoją śmiertelną nieprzyjaciółkę.

— Widzicie tę niewolnicę, ślepą Sassę? — dał się słyszeć rozkazujący głos Jagiellony — weźcie ją! Zanieście do lochów i tam zamknijcie o chlebie i wodzie! Jutro pani wasza wam powie, co z nią dalej zrobić macie.

Sassa zdrętwiała. Uczucie obawy przeminęło jednak szybko, szło tu bowiem jedynie o własne jej życie. Nie drżała o siebie nie lękała się tej, która od pierwszej chwili stała się jej śmiertelnym wrogiem. Jagiellona stała dumnie wyprostowana. Prawa jej ręka wskazywała rozkazująco na bladą, biedną niewolnicę, której ramię było przewiązane.

— Zamknąć do lochu ślepą niewolnicę! — powtórzyła.

Służący przywykli spełniać każde skinienie swojej pani. Byliby zabili Sassę, gdyby im Jagiellona kazała to uczynić! Przyskoczyli do niej i pochwycili ją. Sassa nie broniła się.

— Jestem w twojej mocy pani, — rzekła, — wiem że umrę ale nie obawiam się śmierci! Ty pani lękaj się spełnić czyn, który zamierzyłaś, bo on sprowadzi twoją zgubę!

Służący uprowadzili ją z sobą.

— Pożałujesz swych słów niewolnico! — szepnęła Jagiellona — kochasz Sobieskiego, poznałam to po twoim śpiewie! Śmierć tobie, skoro się poważasz stawiać mi opór! Jan Sobieski zginie i ty wraz z nim.

Czerwony Sarafan, był niemym świadkiem, co się działo, widział więc i Sassę, prowadzoną do strasznych podziemi. Przeczekał, póki się w zamku nie uspokoiło, poczem począł się wolno spuszczać do ciemnego lochu. — W ciemnych lochach na dole znalazł drzwi, prowadzące do kaźni, w której osadzono ślepą niewolnicę. Wielki klucz tkwił w zamku. Przekręcił go i otworzył drzwi. Ślepa niewolnica usłyszała, że drzwi jej więzienia otworzyły się. Powolnie więc opuściła okropne miejsce, które jej żona wojewody przeznaczyła za więzienie. Było ciemno, strasznie ciemno wśród lochów i na górze w korytarzach, ale Sassa była przywykłą do ciemności, gdyż światło dla niej nie istniało. Wyszła po schodach z lochów na górę. Tu zatrzymała się i słuchała. Wydało jej się, że słyszy czyjś chód ostrożny w korytarzu na górze. Ktoś się zakradał. Sassa słuchała. Zdawało jej się, że rozpoznaje ginący w oddali odgłos kroków wojewody. Sassa zaczęła na dół schodzić po schodach.

Gdy zeszła na dół do wielkiego przedsionka, otworzyły się jakieś drzwi. Księżyc jasno oświetlał przedsionek, w którym znajdowało się kilka małych okien ostrołukowych. Jakiś człowiek w czerwonej koszuli, czy bluzie, wszedł otwierającemi się drzwiami do przedsionka. Ślepa niewolnica nie mogła go widzieć, nie mogła poznać czarnobrodej twarzy wojewody, słyszała tylko, że z któregoś pokoju ktoś wszedł do przedsionka i zatrzymał się nieporuszenie. Blask księżyca doszedł jednak aż do niej i Michał Wassalski, który w czerwonej koszuli wyglądał przerażająco, spostrzegł ślepą niewolnicę. Pochwycił on za rękojeść swego sztyletu i wydobył go. Stal błysnęła w świetle księżyca. Uczucie niewypowiedzianego przestrachu przejęło Sassę. Instynkt kazał jej uciekać. Dał się słyszeć stłumiony okrzyk dzikiego gniewu. Sassa poznała po głosie wojewodę i zaczęła biec, aby ujść przed nim. Wojewoda, zgrzytając zębami z wściekłości, biegł za dziewczyną.

— Śmierć tobie niewolnico! — wołał stłumionym głosem, — pocoś tu przyszła? Chciałaś kraść czy uciekać! Odpokutujesz za to! Umrzesz!

Zaczęła się straszna pogoń! Wojewoda w czerwonej koszuli, wstrząsając sztyletem, biegł za ślepą niewolnicą przez ciemny korytarz. Była zgubioną, czyż bowiem mogła długo wytrzymać pogoń? Przejęty wściekłością wojewoda nie ustawał w pogoni. — Niewidoma, nie mogła mu ujść, kilka minut jeszcze a pochwyci ją, gdyż biedna dziewczyna nie mogła wiedzieć, gdzie biegła. Znała wprawdzie miejscowość, gdyż przechodziła tędy tego dnia, będąc zaś od urodzenia pozbawiona wzroku, nabrała pewnej zręczności w obchodzeniu się bez oczu, ale wojewoda musiał ją dogonić, a pochwyciwszy, nie oszczędzałby jej pewno.

Tak rękami rozbijając przed sobą powietrze, jak ścigana sarna dostała się na wolność. Tu jednak powiększyła się jeszcze liczba niebezpieczeństw i przeszkód. W niewielkiej odległości były drzewa, tarasy, kamieniste spadzistości oddzielały ogród od niżej położonych podwórzy, na których umieszczone były stajnie. Dostała się pod drzewa. Z zadziwiającą zręcznością przemykała się między niemi, ale lada chwila mogła się uderzyć o które z nich i paść omdlona na ziemię. W śmiertelnej trwodze odzyskała głos, nie było jednak blisko nikogo, coby mógł ją usłyszeć. Prześladowca, był tuż za nią, zdradzał go odgłos jego kroków! Za chwilę będzie mógł ją pochwycić. Zdawało jej się, że czuje, iż ręka jego dotyka jej sukni, że dochodzi już do niej jego gorący oddech. Niepodobna opisać trwogi biednej niewolnicy.

Już wojewoda dotykał ręką jej sukni, już miał ją pochwycić i powalić na ziemię... Nagle znikła Sassa tuż przed nim. Michał Wassalski cofnął się. Ślepa niewolnica z okropnym krzykiem wpadła w głębinę. Po chwili zapanowała cisza.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Podanie o „Gródku".

W jednej z okolicznych wiosek Biecza, na znacznej wyniosłości wśród lasów, znajduje się dosyć trudno dostępny pagórek — zwany pospolicie „gródkiem". Na jego południowo-wschodniej pochyłości, jest obszerny szmat ziemi, na orne zamieniony pole, zwany „winnicą". U stóp pagórka płynie głębokim jarem bezimienny strumyk, który w nieznacznej odległości wpada do „Olszynki".

Jak niesie wieść stara, w bardzo dawnych czasach miał na tym pagórku znajdować się zameczek, z którego dziś niema ani śladu. Nie był on warownią taką jak zamek w Bieczu lub w Odrzykoniu, lecz służył prawdopodobnie do innego celu, mianowicie jako punkt wyjścia dla zamkniętego wojska w murach zamku bieckiego, w czasie oblężenia, celem uderzenia na tyły wojsk nieprzyjacielskich, oblęgających zamek, lub jako kryjówka dla ludności, wrazie zdobycia zamku. Do tego celu służył podziemny korytarz, łączący na odległość około 5 km. Biecz z „gródkiem" i jak utrzymują jedni, zaczynać się miał w piwnicach jednego ze starych domów tuż obok kościoła farnego się znajdujących, zaś według innych, w skale pod zamkiem królowej Jadwigi, kończył się zaś w skale pod „gródkiem" ogromnemi, żelaznemi drzwiami, któremi po dziś dzień, jak wieść niesie, miał być wychód zatarasowany.

Gdy pewnego razu, wskutek długotrwałych deszczów oberwała się w tem miejscu skała, odkryła owe żelazne zardzewiałe drzwi na jakiś czas, nikt jednak nie ośmielił się drzwi tych odwalić, z obawy przed zepsutem powietrzem w podziemnym korytarzu. Według podania, chodnik ten miał przeprowadzić pewien herszt bandy opryszków, grasującej w okolicy. Herszt ów słynny z rozbojów, ze swymi towarzyszami, zebrał z napadów na przejezdnych kupców i z rabunków ogromne skarby, które ukrywał starannie w lesie. Gdy pewnego razu po całonocnej hulance zasnęli opryszki „snem sprawiedliwego" — wpadli niespodzianie wszyscy wraz z hersztem w ręce sprawiedliwości. Przywiedziono ich do Biecza, który posiadał wówczas własną jurysdykcję i na podstawie wyroku, mieli zginąć od topora katowskiego.

Herszt zbójców jednak nie miał jeszcze ochoty umierać, prosił o ułaskawienie siebie i swych towarzyszy, obiecując za darowanie życia przeprowadzić własnym kosztem ów podziemny korytarz i obietnicy dotrzymał. Czy, komu, kiedy i jakie usługi oddał ów korytarz nie wiadomo — dosyć, że po dziś dzień nazwa „gródek" istnieje, podawana tradycyjnie z pokolenia na pokolenie, na „winnicy" zaś zamiast winogron, kołyszą się letnią porą łany zboża. *Piotr Wenc.*



Poradnik gospodarczy.

Według ustawy wolno każdemu sporządzać sobie dla własnego użytku na rok 50 litrów wina owocowego nie opłacając podatku.

Wino jest napojem smacznym i posiada często wartość leczniczą, powinno się go mieć więc w zapasie w domu, tembardziej, że wino da się przechowywać i czem starsze, tem lepsze.

Wyrób wina jest łatwy, bardzo zajmujący, a bardzo pożyteczny, bo wina domowe możemy wyrabiać nietylko z dojrzałych, ale nawet niedojrzałych owoców, mamy więc sposobność wykorzystania owocu, który nieraz albo marnie ginie, albo sprzedany bywa za bezcen.

Wino jest napojem cennym i z pewnością się nam uda, jeśli wiemy jak wino powstaje, jak mamy przy wyrobie jego postępować i jak potem przechowywać.

Na każdym owocu rosną malutkie grzybki, których gołem okiem wcale nie dostrzegamy, bo na jeden milimeter mieści się ich do 1000 sztuk. Te grzybki zwane grzybkami drożdżowymi, albo krótko drożdżakami lub drożdżami przy wygniataniu owocu przechodzą do soku owocowego. Drożdże te trawią słodycz, tj. cukier, który w każdym soku owocowym się znajduje i wydzielają go ze siebie jako alkohol i gaz, który uchodzi do powietrza. Nazywamy to fermentacją winną. Zauważymy więc, że sok owocowy, który był z początku słodkim, posiada po sfermentowaniu smak cierpkawy i kwaskawy. Cukier znikł, a pozostał tylko alkohol i kwas. Ze soku albo jak to się mówi z moszczu owocowego zrobiło się wino.

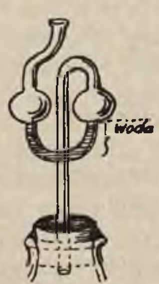
Podczas fermentacji wytwarza się gaz tzw. bezwodnik węglowy. Gaz ten uchodzi z fermentującego moszczu w postaci małych banieczek, szczególniej silnie w początkach fermentacji. Dlatego nie wolno takiego naczynia korkiem zatykać, bo gaz by je rozsa-

dził i należy pierwsze kilka dni dopóki nie minie burzliwa fermentacja zostawić naczynie otwartem. Kiedy fermentacja po kilku dniach osłabnie, wtedy zatyka się szyję gąsiora lub otworu beczki korkiem z rurką fermentacyjną.

Rurka fermentacyjna albo tak zw. czopek fermentacyjny służy do tego, aby fermentujący moszcz ochronić od wpływu powietrza, w którym znajdują się dużo dla wina szkodliwych zarodków, a przedewszystkiem zarodki octu. Gdyby te zarodki dostały się do moszczu, to może zamiast wina powstać ocet. Na załączonym obrazku wygląda rurka fermentacyjna, którą każdy sam sobie zrobić może.



Rurka fermentacyjna.



Rurka fermentacyjna ze zgiętej rurki szklanej najprostszej konstrukcji.

Owoce lub jagody, z których robimy wino, należy przebrać. Zapleśniały owoc odrzucamy, zabrudzony owoc należy dobrze oczyścić, a gdyby miał miejsca nadpsute, to musimy miejsca te wyciąć. Następnie twardy owoc, jak jabłka, gruszki należy pokrajać, a miękki owoc zmiażdżyć lub stłoczyć w drewnianem naczyniu drewnianą łyżką lub tłoczkiem na masę, którą nazywamy miazgą.

Jeśli robimy małą ilość wina, to najlepiej miazgę sparzyć pewną ilością wrzącej wody, aby wygubić wszelkie dzikie drożdże i zarodki, które się znajdują na owocu. Przy wielkich ilościach nie parzymy miazgi, lecz dolewamy wodę zwykłą, dobrą do picia, rozmieszamy dobrze i szczepimy zaczynem drożdży winnych. (Dokończenie nastąpi).

Poradnik kucharski.

Barszcz na grzybowym smaku. Pewną ilość grzybów suszonych (samych czapek) opłukać, nalać wodą, postawić na ogniu; gdy się zagotuje, włożyć sporą ilość jarzyn, osolić i gotować przez 2 godziny. Gdy grzybki już miękkie, wybrać na stolniczkę, jarzyny wyjąć, a na ten pozostały smak zalać kwas buraczany. Parę ładnych czapeczek grzybków pokrajać w wąskie kawałeczki i dać do barszczu. Barszcz ten jest bardzo dobry na post.

Zupa pomidorowa. Kilka dojrzałych pomidorów nalać zimną wodą, dać włoszczyzny i gotować, następnie przetrzeć przez durszlak, rozbić kwaterkę kwaśnej śmietany z łyżką mąki, zaprawić zupę, zagotować i wydać z grzankami lub ryżem. Jeżeli kto lubi, można dodać cukru do smaku.

Zupa pomidorowa ze zasmażką. Parę pięknych pomidorów dusić na maśle, aż się rozgotują na masę, przetrzeć przez durszlak, rozprowadzić rosołem, zrobić lekką zasmażkę z łyżki masła i łyżki mąki, osolić, zagotować i wydać z grzankami.

Zupa zielona. Ugotowany smak z jarzyn zaprawić zrumienioną zasmażką. Osobno usiekać garść koperku, pieprzu i szczypiorku, zrumienić, rozprowadzić i dać do zupy. Przed wydaniem podbić jajami. Podać bułeczkę krajaną w kostkę.

KRONIKA.

Cudowne ocalenie dziecka. Z Częstochowy donoszą: Agnieszka Suliga ze wsi Grabówka, gm. Kruszyna popełniła samobójstwo, rzucając się wraz dzieckiem pod pociąg towarowy. Koła prciągu przecięły na pół samobójczynię, a dziecię cudem ocalało, gdyż znalazło się pomiędzy szynami. Drugi pociąg przeszedł nad dzieckiem, nie naruszając go wcale. Służba kolejowa zauważyła zniekształcone zwłoki i oniemiałe ze strachu dziecko, które z sobą zabrała i ulokowała w szpitalu częstochowskim.

Odstąpiona cyganom. Z Przemyśla donoszą: Jan Mierzwa, zarobnik, zamieszkały pod Jarosławiem, zawiadomił policję, że pozostająca u niego na wychowaniu trzynastoletnia sierota Marja Zielińska została porwana przez wędrowną bandę cyganów, która ją wywiozła w niewiadomym kierunku, prawdopodobnie do Przemyśla. Doniesienie powyższe potwierdziła żona Mierzwy, Anna, zaznaczając, że bardzo jej zależy na odzyskaniu Zielińskiej. Zarządzony pościg natknął się na tabor cygański w Przemyślu, gdzie się nim zajęła policja, która natychmiast przeprowadziła przesłuchanie „króla“ bandy i kilku osób z jego otoczenia w sprawie Zielińskiej. Cyganie jednomyślnie zeznali, że Mierzwowie podarowali Zielińską taborowi, gdyż, jak twierdzili, są zbyt biedni, aby mogli wychowywać nadal obce dziecko. O porwaniu niema więc mowy. Cała transakcja darowizny odbyła się za wiedzą i wolą przybranych rodziców Zielińskiej, którzy działali — jak sami oświadczyli — w dobrze zrozumiałym interesie sieroty. Wobec tak zdecydowanych zeznań członków bandy Mierzwowie byli zmuszeni uznać prawdziwość twierdzeń cyganów, zaznaczając, że była to tylko nieobowiązująca rozmowa i że Zielińska sama, zgłosiwszy się do obozu cygańskiego, przyspieszyła sprawę, stwarzając fakt dokonany. Zielińska też z wielką ochotą przylgnęła do cyganów! Podobało się jej widocznie życie koczownicze, a dość wygodne, w odróżnieniu od szarzyzny wśród której spędziła swe dzieciństwo w ubogiej chałupie Mierzwów. Ci ostatni chcieli zapewne otrzymać od cyganów za Zielińską odszkodowanie w postaci jakiegoś okupu, zwłaszcza, że „król“ taboru był obwieszony złotymi łańcuszkami i guzikami a na wszystkich palcach miał drogie pierścienie.

Katastrofa automobilowa. Z Drohobycza donoszą, że ulica Grunwaldzka, prowadząca do Truskawca, była widownią strasznej katastrofy automobilowej. Z Truskawca wracał autodorożką do Drohobycza adwokat M. Rosenberg z żoną i córką, Henryk i Edyta Kammermanowie i Jan Hrycaj, rolnik. Samochodem kierował Juljan Skiba, właściciel autodorożki. Obok zakładu karnego pod Górką, przed szybko pędzącem autem ukazał się autobus. Szofer, chcąc go wyminąć, tak nieszczęśliwie pokierował samochodem, iż uderzyl o przydrożny słup, przyczem auto wpadło do rowu, przykrywając sobą pasażerów. Adwokat Rosenberg został ciężko ranny w głowę, córka jego doznała wstrząsu mózgu, pozostali pasażerowie odnieśli ciężkie obrażenia. Cało jedynie wyszedł szofer, którym natychmiast zaopiekowała się policja.

Pożar kopalni. Z Katowic donoszą: W ubiegły wtorek wieczór wybuchł pożar w kopalni „Jerzy“ na drugiem polu w Małej Dąbrówce pod Katowicami. Rozpoczęto natychmiast akcję ratunkową i ogień wkrótce stłumiono. Ze sąsiedniego szybu „Normy“ wydobywał się przez kilka godzin duszący dym, przed którym mieszkańcy sąsiednich domów chronili się, zamykając okna. Z powodu upału mieszkania zamieniły się wkrótce

w piekło. Gazy węglowe wdzierały się mimo to do mieszkań. Po kilku godzinach jednak gazy przestały się wydobywać.

Pożar Krakowca. W ubiegłym tygodniu miasteczko Krakowiec w powiecie jaworowskim nawiedził straszny pożar. Pożar trwał od godziny 11 w nocy do następnego dnia rano, a ofiarą jego padło kilkadziesiąt domów. Przeszło 100 rodzin, przeważnie żydowskich, znajduje się bez dachu nad głową. Na miejsce wypadku wyjechali przedstawiciele władz wojewódzkich.

Katastrofa kolejowa pod Warszawą. Z Warszawy donoszą: W ubiegły wtorek o godzinie 9 rano na kolejce Nowe Miasto - Warszawa, w pobliżu stacji Grójec, nastąpiła katastrofa kolejowa. Pociąg osobowy tej kolejki wpadł na pociąg towarowy, w rezultacie czego oba parowozy oraz cztery wagony towarowe uległy zdruzgotaniu. Z pod zdruzgotanych wagonów wydobyto 9 pasażerów dogorywających. Na miejsce wysłano pociąg ratowniczy, zaś ministerstwo komunikacji specjalną komisję śledczą, która ma się zastanowić nad sposobami komunikacji na kolejkach.

Tragedja niewidomego. Tragicznie zakończył w Warszawie życie 30 letni handlowiec Chaim Pałącz. Do niedawna powodziło mu się dobrze, miał sklep ze szczotkami i żył w dostatku. Przed rokiem, po ciężkiej chorobie, stracił wzrok, a po nieudanej kuracji zupełnie ociemniał. Nie mogąc pracować, Pałącz żył przez szereg miesięcy z własnego kapitału. Gdy jednak nędza zaczęła mu dokuczać, postanowił odebrać sobie życie i kilkakrotnie już rzucał się pod tramwaj. Onegdaj nastąpił ostatni akt tragedji niewidomego. Biedak powiesił się we własnym pokoju.

Nowoczesny pustelnik. Z Lublina donoszą: Pod Wojsławicami mieszka jakiś tajemniczy człowiek, który założył sobie pustelnię i urządził kaplicę, w której obok obrazów świętych zawiesił swój portret w aureoli z charakteryzacją na podobieństwo Chrystusa. Przedmiotem szczególnym jego adoracji jest czaszka zmarłej żony. Zajmuje się on znachorstwem i leczy ziołami okoliczną ludność. Charakterystycznym jest fakt, że w pustelni znajduje się urządzony luksusowo pokój, w którym jednak właściciel pustelni nie mieszka, lecz zajmuje specjalnie na ten cel przygotowaną trumnę. Utrzymuje on kontakt z Hudorowcami (kościół narodowy).

Wykrycie olbrzymiej afery pornograficznej. Od dłuższego czasu w najrozmaitszych pismach polskich i zagranicznych zaczęły ukazywać się dwuznaczne podejrzane ogłoszenia, które zwróciły znaczną uwagę naszej policji. Postanowiono wyśledzić, kto jest nadawcą tych ogłoszeń W tym celu użyto podstępu; wysłano ofertę i po nitce do kłębka natrafiono wreszcie na ślad niezwykłej międzynarodowej afery, która miała na celu rozgałęziony kolportaż fotografij i bibuły pornograficznej. Okazało się niebawem, że herszt bandy pornograficznej, w którego ręku zbiegały nici rozległej organizacji, operującej z równą energją w Polsce jak we Francji, Anglji i Niemczech mieszka w cichej wiosce Przepałkowie pod Chojnicami na Pomorzu. Jest nim Teodor Jach, którego poszukiwały policje niemal wszystkich krajów europejskich. Nikt z mieszkańców wioski nie podejrzywał, aby spokojny i wzorowo napozór sprawujący się Jach był w tak wielkim konflikcie z kodeksem karnym. Ogólną uwagę wszystkich zwracało tylko to, że do Jacha przychodziło po kilkaset listów dziennie niemal ze wszystkich części świata. Śledztwo wykazało, że w Berlinie znajdowała się drukarnia pornograficznych fotografij, pocztówek, ilustracyj i broszurek, które w drodze zwykłej korespondencji rozchodziły się po całym świecie. Zamówienia kierowano do Jacha przez Paryż, gdzie znajdowała się największa filja aferzystów. Postępowano w ten sposób, aby utrudnić policji wytropienie szajki. Polscy funkcjonarjusze policji wyjeżdżali w tej sprawie do Niemiec i Francji i dopiero materjał, dostarczony przez policję polską, pozwolił wyświetlić tę olbrzymią aferę. Jach został osadzony w więzieniu sądu okręgowego w Chojnicach. O wielkości jego afery świadczy fakt, że podczas jego nieobecności wpłynęło pod jego adresem w ciągu tygodnia kilka tysięcy przesyłek oraz kilkadziesiąt tysięcy marek niemieckich.

Dzieci zasypane ziemią. Z Bydgoszczy donoszą: Onegdaj u zbocza góry przy ul. Gdańskiej w Gdyni bawiło się kilkoro dzieci. Nagle ziemia się obsunęła, zasypując pięcioro dzieci. Nadbiegli z pomocą policjanci zdołali odkopać tylko czworo dzieci, które po długich zabiegach lekarskich przywrócono do przytomności, piątego dziecka nie znaleziono. Poniosło ono śmierć żywcem zagrzebane.

Tragiczna śmierć na polowaniu. Onegdaj w czasie polowania na kaczki w Winogórze pod Poznaniem zdarzył się tragiczny wypadek, który pociągnął za sobą śmierć leśniczego. Leśniczy Zieliński wybrał się na polowanie w towarzystwie ucznia Antoniego Mańkowskiego. Obydwaj umówili się, że Zieliński ukryje się w krzakach, zaś uczeń będzie napędzał mu kaczki pod strzał. W czasie polowania Mańkowski, który nie wiedział, w których krzakach ukrywa się Zieliński, widząc w jednym z krzaków podejrzany ruch, strzelił, trafiając ukrytego tam leśniczego w głowę. Strzał spowodował natychmiastową śmierć Zielińskiego.

Trup mściciel. Doprawdy, że dzieją się czasem historje, które zdają się wprost nieprawdopodobne. Taki nadzwyczajny wypadek zdarzył się w okolicach Białowieskiej puszczy. Niedaleko Białowieży mieszkał 33-letni Władysław Naburtowicz. Miał on piękną żonę Kasię i dwoje nieszpetnych małych bobasów. Żyło mu się nienajgorzej, ale chciało się lepiej. Sąsiedzi doradzili mu, żeby zajął się kłusownictwem i przemytnictwem. Usłuchał i zajmował się naprzemiany to jednem to drugiem. Wreszcie poszedł do bolszewji z przemycanemi towarami i zaginął. Żona czekała nań cierpliwie.

— Co tu dużo myśleć — powiedział jeden z młodych sąsiadów. — Męża twego, Kasiu, dawno już zamordowali bolszewicy, a djabli potem upiekli go na rożnie.

Kobiecina z początku się mocno oburzyła, z czasem jednak — jak to kobieta — poczęła w to powoli wierzyć i wreszcie zupełnie uwierzyła. Sąsiad Hryćko Tabun był teraz mile widziany. Radził, pocieszał, zaopiekował się i od tej opieki w pewnym czasie gospodarstwo powiększyło się o dwoje maleństw... Trzeba takiego trafu, że w tym czasie wrócił z bolszewji zaprzepaszczony mąż i gdy się dowiedział od sąsiadów, że żona go zdradziła, postanowił się zemścić. Napisał tedy list „z tamtego świata“ do swojej żony, aby rzuciła kochanka, bo inaczej przyjdzie i zamorduje wszystkich. A gdy kobieta nie usłuchała, począł pokazywać się pod oknami w nocy i straszyć żonę i swego rywala, ale w dodatku i sam się tak przejął tem wszystkiem, że oszalał i kryjąc się po puszczy, jak zwierz chował się przed ludźmi... Tylko od czasu do czasu w nocy podchodził pod okna swej dawnej zagrody.

— To trup mego męża tak mnie straszy.

— Ee, głupia jesteś. To jakiś warjat. Widzisz, jakie ma straszne oczy.

Wreszcie w tych dniach „żywy trup“ wszedł do mieszkania i w okrutny sposób zamordował 28-letnią swą żonę Katarzynę, jej kochanka Hryćka, dwoje dzieci,

a potem podpalił zagrodę i uciekł do lasu. Policja poszukuje „nieboszczyka“- mordercę, lecz narazie trudno go pochwycić, gdyż zaszył się gdzieś w głębokie puszcze.

Zemsta orlicy. Krwawego samosądu nad siedmioletnim chłopcem dokonała w pewnej miejscowości bretońskiej orlica, mszcząc się za systematyczne obrabowanie jej spiżarni. Józio Prager wyśledził na nadmorskiej skale gniazdo orłów. Codziennie samica wyruszała na polowanie i wracała niosąc młodym zająca, królika lub jakiegoś ptaka. W domu Pragera dzieci często bywały głodne i Józio wpadł na szczęśliwy pomysł dzielenia się z orlętami ich pożywieniem. Wyśledziwszy, że orlica przyniosła małym strawę i odleciała, zakradł się na skałę i wykradł pisklętom ich codzienną strawę. Widocznie poskarżyły się matce, albo jej samej wydało się rzeczą podejrzaną, że mimo starań z jej strony dzieci wołają jeść! Pewnego dnia zaczaiła się za gniazdem, spadła na młodego rabusia jak grom z jasnego nieba i dziobem i pazurami okrutnie go poraniła. Nieszczęliwy chłopiec mimo ran zdołał zejść ze skały, a wloką się do domu w drodze orlica poraz drugi napadła swoją ofiarę.



Zaciekłość orlicy była tak wielka, że nadbiegły z pomocą jakiś gospodarz z trudem rozwścieczonego ptaka zdołał odpędzić. Chłopiec tymczasem ducha wyzionął. Cała wieś ruszyła, chcąc pomścić śmierć chłopca. Gdy przybyli na skałę — gniazdo było puste. Bojąc się zemsty ludzi, a może tylko chcąc ochronić gniazdo przed okradaniem, orlica w międzyczasie przeniosła pisklęta w bezpieczne miejsce.

Ucieczka węża z menażerji. Jak donoszą pisma paryskie, w Chatellerault uciekł z menażerji cyrkowej wąż dusiciel boa, widocznie jeszcze młody, gdyż ma tylko 3 metry długości i 42 kilogramy wagi. Stwierdzono, że ślady węża wiodą do składów towarzystwa spożywczego, ale nie zdołano odkryć, mimo najgorliwszych poszukiwań, gdzie niebezpieczny gość ukrył się. Wąż stanie się niebezpiecznym dopiero po 10 dniach, gdy odczuje głód. W mieście zapanował popłoch i kto tylko może nie wychodzi z domu.

Niefortunny występ ze żmijami. Niezwykły wypadek zdarzył się pod Berlinem w pewnej restauracji podmiejskiej. Przybył tam artysta malarz Reus i pijąc piwo, wydobył z pudła dwa spore węże, które ulokował na stole. Miały to być — jak zapewniał Reuss — dwie całkiem nieszkodliwe serbskie żmije, które wesoło czołgały się po stole. Reus zaczął namawiać 14-letnią pasierbicę właściciela restauracji, Karolcię Traeger, ażeby z wężem na ramieniu stanęła do zdjęcia fotograficznego. Karolina opierała się początkowo, a rodzice jej również nie chcieli się zgodzić na ten niezwykły akt. Wreszcie ulegli namowom i zapewnieniom Reussa. Ale gdy żmija znalazła się na ręce Karolci, prawdopodobnie jakich ruch dziewczęcia podrażnił ją i żmija ukąsiła dziewczynę. Reuss znowu zapewniał, że ukąszenie jest nieszkodliwe, jednakże cała ręka i oba przedramiona aż do łopatki spuchły gwałtownie. Dziewczynę odwieziono do szpitala, gdzie lekarze zarządzili natychmiast środki ratunkowe, oświadczając, że chorą prawdopodobnie uratują. Przeciw malarzowi sąd wdrożył postępowanie karne.

Baron podpalaczem. Z Frankfurtu nad Menem donoszą, że w miejscowości Bingen został aresztowany baron Ludwik Zweierlein. Aresztowany był właścicielem dóbr nad Renem, w których spalił się czteropiętrowy dom. Pożaru nie mogły stłumić nawet z sąsiednich miejscowości zawezwane straże. Sześć rodzin zostało bez dachu, dwóch strażaków zginęło w ogniu. Podejrzenie o podpalenie padło na właściciele, a utwierdza je jeszcze i ta okoliczność, że spalone budynki miały być 1 go sierpnia przymusowo sprzedane za długi.

Mahometanki jugosłowiańskie. Wśród mahometan jugosłowiańskich już od dłuższego czasu ścierają się z sobą ostro dwa kierunki, reformatorski i konserwatywny. Kierunek pierwszy, reprezentowany przez najwyższego dygnitarza kościelnego w Bośni i Hercegowinie, Reis-Ul-Ulema-Dżemaludin Effendi-Czauszewicza, który w roku ubiegłym odbył dłuższą podróż po Turcji, gdzie zapoznał się z dziełem reformatorskim Kamala Paszy, domaga się przeprowadzenia w życiu muzułmanów jugosłowiańskich całego szeregu reform na wzór reform tureckich. Przeciwko dążeniom tym z całą stanowczością występują przedstawiciele kierunku konserwatywnego, którzy za żadną cenę nie chcą zrywać ze staremi tradycjami islamu. Do szczególnie ostrej walki doszło między obu kierunkami w związku ze zgłoszonym przez reformatorów wnioskiem, co do rewizji przepisów o noszeniu zasłon przez kobiety. Walka ta zakończyła się w tych dniach zwycięstwem reformistów, bowiem najwyższa instancja islamu w SHS. tak zw. kurja hodżów w Serajewie wydała przed kilku dniami orędzie do wiernych, w którem zarządza, że kobiety poświęcające się służbie publicznej i studjom, mogą chodzić bez zasłony na twarzy i nosić sukienki z krótkiemi rękawami.

Zamordowanio prezydenta Meksyku. Prezydent Meksyku Obregon został w ubiegły wtorek zamordowany. Obregon brał udział w bankiecie wydanym na jego cześć w pewnej restauracji w pobliżu miasta Mexico City. Sprawca zamachu zdołał w niewyjaśniony dotychczas sposób dostać się na salę i oddał do Obregona szereg strzałów rewolwerowych, kładąc go trupem na miejscu. Sprawca został aresztowany.

Obraz za 1,500.000 dolarów. Z Nowego Jorku donoszą, iż jeden z najsławniejszych obrazów Rembrandta, „Portret kobiety, trzymającej torę“, został zakupiony przez pewnego Amerykanina za olbrzymią sumę półtora miljona dolarów.

Cud przyrody. W grobie króla egipskiego czyli tak zwanego faraona — Tutankhamena, znaleziono na złotej miseczce zupełnie zdrowe ziarna pszenicy, które liczyły trzy tysiące lat. Przed tylu latami zebrano je kiedyś nad brzegami Nilu w Egipcie i przez tyle lat zachowały uśpione życie i zdolność kiełkowania. Anglicy ziarna te wzięli ze czcią i posiali na najlepszej ziemi w Kanadzie. I oto weszła ta odwieczna pszenica i dała piękne plony; za drogie pieniądze sprzedawano chleb z tej egipskiej odwiecznej pszenicy. — Co za wzniosły cud zmartwychwstania? z pszenicy pszenica po tylu wiekach. Tak to natura ma wieczne prawa — czego nie zrobiła dawniej, tego nie robi i dzisiaj — tylko bezbożni uczeni chcą od małpy wyprowadzić człowieka, sądząc, że po drogach jakichś krzywych i powikłanych prawd, jak ich umysły, miałaby kroczyć Opatrzność i natura. — Pyszałki i głupcy!

RZECZY CIEKAWE.

Przyczyny rozwodów.

Jednym z przykładów dziwacznych przyczyn, skłaniających do starania się o rozwód, były podane przez aktorkę filmową Małgorzatę Brunner z Los Angelos. Oświadczyła ona mianowicie, że mąż jej zwykł był jadać cebulę surową, a po jej spożyciu całował swą żonę.

— Czyż możliwem jest — pytała, mająca widocznie bardzo wrażliwy nosek małżonka,— żyć z człowiekiem tak przykrym?

W Turcji pewna pani z Konstantynopola skorzystała z nowych praw republiki, aby zażądać rozwodu pod pretekstem, że mąż jej jest lunatykiem. Choroba jego objawiała się w ten sposób, że w nocy wstawał i uzbroiwszy się w rewolwer, skierowywał go właśnie w stronę żony. Zwykle po chwili, jakby po przebudzeniu się, odkładał broń na bok i wracał spokojnie do łóżka.

— A jeżeli pewnego dnia nie obudzi się i wystrzeli? — zauważa żona.

Pani White z Mineapolis w Ameryce opowiada, że mąż jej namiętnie lubiał słuchać radja. Siadywał przy aparacie przez całe noce, ale co gorsza, zmuszał żonę, aby mu towarzyszyła. Żonie było tego zadużo, zażądała więc rozwodu.

Pewna małżonka w Londynie domagała się rozwodu, gdyż mąż jej przez dwa lata zupełnie do niej się nie odezwał. W Paryżu przed trzema laty wielki afisz ogłaszał na bulwarach, że można uzyskać „rozwód na kredyt“. Znaczyło to, że adwokat podejmował się przeprowadzić rozwód, pokrywając wszystkie z tem związane koszta, które wraz z honorarjum „uszczęśliwieni“ małżonkowie zwracali następnie w ratach według umowy. Dwa lata temu poczęło wychodzić w Pradze czasopismo, zatytułowane „Rozwódka“. Równocześnie zawiązało się tamże towarzystwo, mające na celu ochronę prawną kobiet, które znalazły się w tem wyjątkowem położeniu. Na inauguracyjnem zebraniu tego towarzystwa, pewien adwokat zakończył swoją mowę tym nieoczekiwanym chyba przez nikogo zwrotem: „Spodziewam się, że liczba członków tego pożytecznego stowarzyszenia będzie rosła z dnia na dzień“. Ten żarliwy stronnik rozwodów przypomina ową właścicielkę instytutu piękności w Ameryce, która twierdziła, że panie w Ameryce nie starzeją się właśnie dlatego, że nieszczęśliwe małżeństwa są tam na porządku dziennym.

— W rzeczywistości — objaśniła owa pani — nieszczęliwe pożycie małżeńskie wyradza u wielu żon chęć dbania więcej o własny wygląd, o własną piękność, a to celem przypodobania się jaknajwięcej młodym ludziom, już to, aby odzyskać serce niewiernego małżonka, już to, aby na wypadek rozwodu znaleźć sobie innego męża, więcej odpowiadającego jej sercu i wymaganiom.

Pewien sędzia, również w Ameryce, który chyba osiągnął rekord, udzieliwszy 900 rozwodów w ciągu jednego miesiąca, zwykł był powtarzać, pełen zadowolenia:

„Każdy rozwód uszczęśliwia cztery osoby; ja jestem tym, który daje tym ludziom szczęście“.

Co należy jeść w lecie?

Niedawno ukazała się w jednem z niemieckich czasopism lekarskich ciekawa rozprawka dra Wilhelma Stahna p. t. „Co należy jeść w lecie?“ Wywody tam zawarte są bardzo interesujące i godne uwagi, to też podajemy je w zwięzłem skróceniu.

Bardzo nieliczni ludzie — pisze dr. Stahn — mają choćby elementarne wiadomości z zakresu higjeny. Jedzą i piją bez miary, nie zdając sobie z tego sprawy, iż biedne narządy trawienia nie mogą podołać nadmiernie dostarczanemu materjałowi spożywczemu. Skutki tego są fatalne. Osłabiony żołądek nie tylko musi większość pokarmu odrzucić jako balast niepotrzebny, ale nawet to, co trawi, trawi źle i niedokładnie. Następuje zużycie narządów trawienia, a — co jeszcze gorsze — zwłaszcza związki białka ulegają w jelitach gniciu i rozkładowi. Organizm zatruwa się.

Zachodzi to najczęściej w lecie, bo w tej porze roku jesteśmy wskutek przyzwyczajenia skłonni do pobierania tej samej ilości pokarmu, co w zimie. To też najenergiczniej przestrzegam przed przeładowaniem żołądka w lecie, a zwłaszcza przed nadużywaniem pokarmów mięsnych!

Fizyczna sprawność kulisów chińskich jest znakomita, choć żywią się oni niemal wyłącznie ryżem. Włoscy robotnicy karmią się niemal tylko polentą, a jednak pracują bardzo wydatnie. A więc nie przeceniajmy wartości mięsa, a unikajmy go stanowczo w lecie!

Ograniczenia pożywienia mięsnego wymaga sprawność naszego organizmu, utrwala nasze zdrowie i przedłuża życie, bo odsuwa sklerozę lepiej niż wszelkie medykamenty. Obawa przed niedostateczną ilością białka w pożywieniu jest straszakiem na wróble.

Kto nabiera za dużo białka naraża się na szereg fatalnych skutków, z których najważniejsze są następujące: 1. Ułatwienie wszelkich procesów gnilnych w narządach trawienia. 2. Osłabianie serca. 3. Wywoływanie chorób wątroby i nerek. 4. Skłonność do reumatyzmu i gichtu. 5. Skłonność do przedwczesnego wiotczenia mięśni.

Błędne nauki o „wzmacniającem białku“ wiele już narobiły szkody. Kto pragnie zachować zdrowie, niechaj zwłaszcza w lecie jada bardzo umiarkowanie, a unika, jak djabeł święconej wody, pokarmów mięsnych. Natomiast ogromnie pożądane dla zdrowia jest odżywianie się jarzynami i owocami.

Szczepionka przeciwko zmęczeniu.

Jak wiadomo zmęczenie organizmu wywołuje kwas, wydzielający się z pracujących mięśni, który zawierając kwas węglowy, posiada skład zbliżony do potu. Angielski profesor W. C. Freed pomyślał o tem, ażeby ten kwas unieszkodliwić, a tym samym usunąć objawy zmęczenia. Wynalazek jego polega na zastrzykiwaniu pewnego rodzaju szczepionki przeciwko zmęczeniu w mięśnie żywego organizmu. Doświadczenia swe wykonywał na morskiej śwince i szczurach. Oto stawiał zwierzątko na płycie; musiało ono szybko przebierać łapkami, w końcu jednak zmęczone spadało. To samo działo się ze szczurami. Gdy profesor zastrzyknął zwierzątkom szczepionkę trzymały się one na płycie znacznie dłużej, dowodząc tym samym, iż szczepionka powiększyła odporność ich organizmu na zmęczenie.

Jeżeli wynalazek powyższy będzie miał zastosowanie w życiu codziennem, znaczenie jego będzie doniosłe, albowiem człowiek „szczepiony“ będzie mógł długo pracować z pożytkiem dla siebie bez zmęczenia.

Stosunki małżeńskie na Madagaskarze.

Kierownik muzeum etnologicznego w Chicago, dr. Linton bawił przez dwa lata na Madagaskarze, by studjować zwyczaje i obyczaje tamtejszej ludności. Niedawno wydał książkę, w której opisuje stosunki na Madagaskarze.

Jak wiadomo, na wyspie tej istnieje jeszcze wielożeństwo, ale uregulowane wedle bardzo oryginalnych przepisów. Pierwsza żona ma pierwszeństwo, a mąż może się ożenić z drugą żoną, jeśli uzyska zgodę pierwszej żony. Zgodę uzyskuje podarunkami. Gdy mąż chce mieć jeszcze trzecią żonę, musi już przebłagać swe dwie pierwsze żony również podarunkami. Utrzymanie więc haremu jest rzeczą nader kosztowną. Pozatem musi mąż każdej ze swoich żon podarować kawał gruntu, a ilekroć ją odwiedza, musi okazać swą miłość nietylko żonie, ale i gruntowi żony.

Obowiązki męża wobec żony sięgają poza śmierć. Północna mianowicie część wyspy przeznaczona jest na cmentarze. Powietrze jest tam tak suche, że zwłoki nie rozkładają się, lecz zasychają. Raz w roku musi głowa domu odwiedzić rodzinny cmentarz i zwłoki swych zmarłych żon przewrócić na drugi bok, by zadośćuczynić wierze prymitywnych ludów, że zwłoki męczą się, leżąc na jednym boku.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Piotr Leśniak** w W.: Nadesłane wierszyki zupełnie dobre. Drukowane będą. — **„Hania" G.:** „Czy warto żyć?" jeszcze do druku się nie nadaje. Może dalsze będą zupełnie dobre, choć i ten, jak na pierwszy wiersz, ma duże zalety. — **Franciszek Macioł** w S.: Wiersze p. Mondrzyka zupełnie dobre, my jednak już raz w innem piśmie wierszy drukowanych w „Roli" nie zamieszczamy. Możeby p. M. coś umyślnie dla nas napisał. — **Karol Zabawa** w N.: Druk powieści p. Lesiowskiego ukończymy we wrześniu, poczem damy jeszcze jedną powieść historyczną. „Ślepa niewolnica" jest nieco dłuższa i pociągnie się gdzieś do Nowego Roku. — **Jan Dziura** w D.: Administracja Panu „Rolę" zaraz pod zmienionym adresem posyłała i posyła. Niechno się Pan w urzędzie pocztowym energicznie upomni. My się zapytamy urzędu poczt. w Drogomyślu, komu Pańską „Rolę" wydawał. — **Piotr Wenc** w Ś.: Otrzymaliśmy — dziękujemy. A czy Pan otrzymał od nas list w ubiegłym tygodniu? Prosimy przy sposobności odpowiedzieć.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:
Jan Gawlik z Walentynowa dla Maćka 1 zł., Franciszek Dzień ze Szczurowej dla Maćka na podstrzyżenie 50 gr.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

☆ ☆ ■ ☆ ☆ Składowa część powietrza.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Drzwi.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Dziewczyna.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Stolica.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Korona.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Wyspa.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Zwierzęta owadożercze.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Używana do czyszczenia.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Drzewo owocowe.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Ptak.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rębacz.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Naczynie kuchenne.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Powstaje z ognia.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Gwizd.

Litery środkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko powieściopisarza, którego utwory drukowane w „Roli".

2. Zagadki.

(Ułożył Jan Patulski z O.).

I.

Tam poza wsią tuż przy drodze
stał sobie ptak na jednej nodze,
Choć nikogo on nie prosił,
lecz kto cierpiał doń się głosił.
Gdy odchodził nie dziękował,
chociaż cierpień nie odczuwał.

II.

Początek rozrywki a koniec litera,
na wiosnę się sieje, zaś we żniwa zbiera.

III.

Dodać to do głoski co po wodzie płynie,
jeśli całość dobra, bezpieczne jest mienie.

IV.

Koniec zwierzęta, początek droga,
następnie będzie męczarnia sroga.

V.

Wprost to bywa wśród burzy,
Wspak dział ziemi nieduży.

VI.

Wprost przestępcom dobrze znana,
Wspak to trunek dobry zrana.

VII.

Wsprost to ogród z biblji znany,
Wspak pierwszy przez słońce grzany.

3. Przestawianki.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

I.

Zima — Wicek stale chory.

II.

W lesie są bety, w polu grad.

III.

Sam kot truje jedzenie.

Z powyższych zdań ułożyć znane przysłowia.

4. Szarady.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Wilk z głodu pierwsza i czwarta,
Gdy człek piąte czwarte wtenczas mało
[warta.
Czwarte trzecie piąte to leśne zwierzęta
Domowe natomiast znów druga piąta.
Drugie trzecie czwarte jeżdżą a nie chodzą,
Drugie czwarte robię, gdy bóle przychodzą.
Całość katastrofa, porywa ofiary,
A kto mi nie wierzy, ten też niema wiary.

II.

Pierwsza sama stanowczo przeczy,
Sama druga to krzew nie dorzeczy.
Trzecią znów i czwartą z mięsa sporządzają,
Po niej wino lub piwo z chęcią popijają.
Całość to sytuacja nieprzyjemna zgoła
W niej człowiek Pana Boga ku pomocy
[woła.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 4-go sierpnia b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 29 „Roli": 1. Logogryf: „Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka". „Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi". 2. Szarady: I. Majster, II. Panorama, III. Karpaty, IV. Mandolina. 3. Kwadrat magiczny:

1	2	3	4	5	15
2	5	3	1	4	15
3	3	3	3	3	15
4	1	3	5	2	15
5	4	3	2	1	15
15	15	15	15	15	

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Alfons Czader z S. W., Feliks Popielarczyk z S., Józef Reichert z P., Władysław Soból z Z., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Ignacy Jaśko z K., Ludwik Paliga z K., Marylka Kalafarska z K., Jan Ciastoń z J., Stanisław Pallan z S., Wojciech Ciepiela z B., Jan Patulski z O., Jan Kolbuch z B., I. Zajączkowski z S., Tadeusz Kwerka z W., Hania G. z G., Ktoś z Drohobycza bez podpisu.

Nagrody wylosowali pp.: I. Zajączkowski w S. i Jan Ciastoń z J.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 20 lipca b. r.
Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·00 do 1·67 zł.	Jałownik	od 1·00 do 1·70 zł.
Woły . .	od 1·15 do 1·63 zł.	Cielęta .	od 1·11 do 1·78 zł.
Krowy .	od 0·80 do 1·66 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·23 do 2·35 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·20 do 3.10

Giełda płodów rolniczych
z dnia 20 lipca b. r.

Pszenica .	53·00—54·50	Słoma długa	00·00—00·00
Żyto .	41·50—42·50	Ziemniaki stoł.	0·00—00·00
Owies . .	47·00—48·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	42·00—43·00		
Łubin żółty	29·00—30·00	Otręby żytnie	30·00—30·50
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	65·00—66·00
Groch zwyk.	62·00—63·00	Mąka pszen.	84·00—85·00
Siano słodk.	26·00—28·00	Otręby pszen.	28·50—29·00
Koniczpastew.	30·00—32·00	Mąka czerw.	35·00—36·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.